№ 11 Warszawa, dnia 28 Lutego (12 Marca) roku 1881.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

WANDA.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH.

Na podaniach polskich osnuty,

napisany wierszem rymowym

przez

JÓZEFA GRAJNERTA.

Z muzyką do kilku pieśni

ś. p. St. Moniuszki.

(Wykończony ostatecznie w Warszawie d. 26 Września 1880 r.)

PRZEDMOWA.

Wcielając wutwór dramatyczny wielką ideję podaniową o Krakusowej córze, sądzę się w prawie nadmienić, że gdy ani faktów życiowych Wandy, ani też mytu smoka Wawelskiego żaden z badaczów poważnych nie wyjaśnił nam dotąd stanowczo, lecz owszem gdy z ich orzeczeń pozostały same sprzeczności, przeto wolno mi było użyć tutaj systematu, jaki mi stworzyła fantazya własna, zasilona badaniami zamierzchłych czasów. Wszystkie w ogóle wybitniejsze w dziejach narody stroją swą pierwotną historyą podobnemi postaciami, jakiemi u nas są: Lech, Krakus, Wanda, Popiel lub Piast. Wszakżeż i półbogi greckie podobny mają charakter. Czyny takich postaci podniesione do boskości, stały się z jednej strony zasiłkiem pierwotnej wiary, a z drugiej dotykają rzeczywistych dziejów, idealnie przez lud wystawionych, jako wzór dla następców, a pociechę dla siebie.

Te same sprzeczności, napotykane przy wytłómaczeniu mytu Smoka Wawelskiego, istnieją i w badaniach kronikarskich podań o Wandzie. Słowacki, wodza Allemanów Rytogara, lub Rytygierza, zrobił zwycięzcą Wandy. Kronikarze zaś nasi podali, że książę ten, rażony jej uroczemi wdziękami i majestatycznością, niby promieniami słońca, został pobity, a nie mogąc znieść swej hańby, przebił się mieczem w jej oczach. Wanda zaś według tychże podań, śmierć sobie zadała w ofierze dziękczynnej bogom za otrzymane zwycięztwo nad Allemanami; tak też i podania wielkopolskie, zebrane przez Saint-Martina opiewają. Podanie znowu ludu naszego opiewa: że Wanda utopiła się dla tego, iż nie chciała Niemca. Ze wszystkich tych wersyi jednak przebija myśl jedna, o dobrowolnem poświęceniu się Wandy i myśl ta stała się nicią przewodnią w niniejszem utworze. Najnowsi znowu badacze mytologii naszej domyślają się, że myt Wandy wiąże się ściśle z przyrodą i jej zmianami; że utopienie się Wandy ma odpowiadać utopieniu, na wiosnę, zimowej pory z jej lodami i t. p. Mniejsza o to, co realnie myt ten znaczyć może; nam tu chodzi o ducha jego, o znaczenie, jakie Wandzie naród nasz daje i jaką ideję poświęcenia sam w sobie żywi.

Badanie podań ludów słowiańskich, „Rękopismu królodworskiego”; Kronika „Helmolda”, „Nestora”, „Słowa o pułku Igora” i innych, dają szacowne wskazówki: jakiemi barwami zamierzchłe dzieje nasze opatrzyć należy. Ztąd mytyczne i czarodziejskie wierzenia, ubiory i uzbrojenia opierają się w dramacie na duchu i znaczeniu tychże wskazówek.

Kroniki nasze wspominają jeszcze o dwóch synach Krakusowych, z których jeden w celach samolubnych stał się bratobójcą, aby sam po śmierci brata panował. Lelewel każe pogardzać tem zmyśleniem. W utworze też moim okoliczność ta schodzi się z tą doradą wielkiego badacza. Pobyt zaś Gotów, nad Wisłą czas pewien żyjących, ma oparcie na historyi.

Kto też badał ducha ludów słowiańskich w ogóle, ten się przekonał, że bez gędźby, bez śpiewu i muzyki nic ważniejszego ludy te nie rozpoczynały. Nawet wdowy, idące dobrowolnie na spalenie wraz z ciałem męża, smętne zawodziły śpiewy. I nasz lud dziś jeszcze jakże chętnie śpiewa w kościele, śpiewa nad kołyską, śpiewa na weselu, śpiewa i na pogrzebowej stypie! Sądzę przeto, iż krótkie ustępy melodramatyczne w pracy mojej, zgodne są z duchem zamierzchłej epoki.

Objaśnić mi jeszcze wypada, że muzykę do niektórych ustępów dramatu napisał ś. p. Stanisław Moniuszko wtedy, kiedy dramat ten był jeszcze w zarysie, a gotowe już były pieśni i chóry.

Barwą odległości powleczony krajobraz, jakże jest pociągającym dla każdego estetycznego oka, a staje się on uroczym, jeśli krajobraz ten jest swojskim i połyska tęczowemi kolorami rodzinnego słońca! Przeszłość zamglona wabi i zarazem trwożnym przejmuje urokiem, niby otchłań wód cichych, do dna których promień słoneczny przegląda.

OSOBY.

Baba-Jaga, stara wróżka.
Dybalt, potomek książąt Gockich, w roli kapłana.
Leszek, w roli syna Krakusowego.
Bogdal, } lechici.
Zabój, }
Krakus, król lechicko-chrobacki.
Wanda, jego córka.
Skarbimierz, lechita, wódz.
Wisław, wieszcz-gęślarz.
Lubonia, Milica, Swietlana, wieszczki dziewice.
Rytogar, książę Allemanów.

Egbert, Ulryk, Herald, wodzowie Allemańscy.
Gotschalk, poseł Rytogara.
Duch Krakusa.
Lechici, Lirnicy, Gęślarze.
Wieśniak, Dwie wieśniaczki, Pachołek Wandy, Dwaj Siepacze, Dwa Knechty, Straż, Lud, Dziewice.

Rzecz dzieje się w Krakowie i okolicy.
W akcie II-im i III-im — po jednej odsłonie.

Akt I.

Noc. Chata w lesie, na wpół rozwalona. W przerwie lasu połyska Wisła, nad nią, na wzgórzu stoi drewniany zamek królewski. Przed chatą ognisko.

Scena pierwsza.

Baba-Jaga, potem Leszek i Dybalt.

BABA-JAGA *(wychodząc z chaty z mieczem obnażonym w jednej, i z pękiem ziół w drugiej ręce, na wpół śpiewa).*

Gdym miecz trucizną skrapiała,
Czarna mi kura zapiała — zapiała!
Ropucha wlazła na skronie,
Wąż się pokazał w koronie — w koronie!
Jakaż tych dziwów zagadka?...
Będę królowa hej! matka — hej, matka!
Będę ja matką — królową,
Kupię se szatę perłową — perłową!
(Trzęsie na ogień zioła.)
Nijo, bogini podziemnego świata,
Oto z ziół świętych dla ciebie objata;
Niechże twych czartów dokaże pokusa,
By z ręki Leszka poległ syn Krakusa.
(Nakadza miecz.)
Niech miecz ten spoi się z syna prawicą,
Jak dłoń zlepiona stopioną żywicą.
Dymie! płyń,
Duszo! giń,
Synu! bij,
Mieczu! tnij.
Lat trzy dziesiątki czekałam ja na to,
By mi tak szczęsne błysło babie-lato!
Król-wąż, to król syn! A ta czarna kura
Wyraźnie piała: dla syna purpura!
Krakus wnet zamrze... Pójdzie mi jak z płatka!
Ho, ho, ho! będę ja królowa matka.
(Burza się zrywa, błyskawice.)
Wichry potworne, z sępiemi pióry,
Nieście me prośby do Czarno-boga,
Za morze-ocean, za strome góry,
Za żółte piaski, gdzie piekieł droga;
Niechaj moc czarna wzmoże me dłonie,
Bym posadziła Leszka na tronie...
Cicho!... ktoś idzie? Działajmyż ostrożnie.
(Usuwa się za drzewo.)

Scena druga.

(Wchodzą: Leszek w błyszczącej zbroi i Dybalt w czarnej powiewnej sukni, z wężykowatą laską w ręku).

DYBALT.

Leszku! kto od słów wieszcza stroni trwożnie,
Zdurzeje, niby skapturzony sokół, —
Sądząc, że straszna otchłań nocna w okół,
Ni się domyśli, że wkrąg świeci słońce...
Tak łucznik chowa pierzate swe gońce;
Lecz gdy mu na łów zrzuci kaptur z dzioba,
Sokół nad wszystko łup sobie spodoba.
Ty więc, sokole! rzuć nocne mamidła,
Ja łucznik na łup rozwiązuję-ć skrzydła.
Sto ofiar bogom nieśmiertelnym spalę
Za czyn twój szybki, spełniony zuchwale;
Bogi przebaczą krewkości rycerza,
Co na rodnego brata cios wymierza,
By ster krainy uchwycić w dłoń dzielną,
Gdy Krakus legnie już w pościel śmiertelną.
Pomnij, że Lumir stworzon na gęślarza,
Nie na dzielnego Lechitów władarza,
I rękom Wandy czółnko i iglica,
A nie żelazne berło wszech-dziedzica.

LESZEK.

Dybalcie! mężu, w wieszczbach witeziowych
Wyuczon, nie znasz-że ty praw spadkowych?
Wszak po zakonie wiekuistych bogów,
Dwaj bracia wspólną odzierżym spuściznę.

DYBALT.

Skłoń ucho, Leszku: wprost z królewskich progów
Wieść niosę wierną, klnę-ś na mą siwiznę!
Tak król wywnętrzył mi ostatnią wolę:
„Jedno jest słońce, jeden król niech rządzi,
Toż pierwistkowi oddam kraju dolę."

LESZEK.

Więc Lumirowi tron i berło zsądzi?
Rodzime prawo współwłasności zdepcze?

DYBALT.

Ty sługą będziesz jak każdy lechita.

LESZEK.

Ha! czart mi w ucho szydne myśli szepcze...
Żal, żółć zazdrości gryzie mi jelita,
Będęż pachołkiem służył w poczcie brata,
Żem z łona matki później w odmęt świata
Wyjrzał niż brat mój?... Bogini żywiąca!
Czemuż nie tchnęłaś pierwej we mnie życia?

BABA-JAGA *(wychodząc z za drzewa).*

Będziesz szczęśliwy!

DYBALD *(na str.).*

Dotrzymała słowa.
(Głośno.)
Cóż to masz w ręku?

BABA-JAGA.

O wschodzie miesiąca
Wyszłam w bór z mego sowiego ukrycia
I miecz znalazłam potężny przez czary,
Bo go zaklęła mych tajemnic mowa.
Bierz go więc, Leszku, nie strachaj się mary;
Czarna bogini z koroną cię swata,
Jednem draśnięciem zgładzisz swego brata.
(Chwyta go za dłoń.)
Ja na tej dłoni widzę przyszłość twoją:
W koło się ciebie duchy szczęścia roją.

DYBALT.

Imaj miecz władco przyszłej ludu sławy.

LESZEK.

Lecz skrytym mordem pogardza Lech prawy...

DYBALT.

Toż nie zawadzi miecz przeważyć w dłoni.

BABA-JAGA.

Tylko się dziewczę tajnych sprawek płoni.

LESZEK.

Nie! Bratobójcą zostać się nie ważę...

DYBALT.

Kruszejesz? hołdy bijesz trwożnej marze?

LESZEK.

Strasznie!... Dłoń moja brata nie zabije...
Śmierć mi już blada przed wzrokiem się wije...
Widzę... duch jego zmorą mnie przygniata.

DYBALT.

Próżne to Wiły! Pamiętaj, dłoń brata
Za chwilę, jutro koronę zdobędzie.

LESZEK *(wahając się).*

Nie — nie. Trup brata ścigałby mię wszędzie.

BABA-JAGA.

Dowiedz się tedy, żeś ty mu nie bratem!

LESZEK.

Szalone brednie!

BABA-JAGA.

O, nie, na Perona!

LESZEK.

Któż więc mnie rodzi?

BABA-JAGA.

Tyś syn mego łona!

LESZEK.

Jędzo! ty kłamiesz.

BABA-JAGA.

Taiłam przed światem
Do czasu, lecz dziś k'woli dobru twemu,
Skrycie przed tobą zerwę płaszcz tajnicy.
Ot, jak się stało. Lat trzydzieści temu,
Tyta, najmilsza z żon króla w łożnicy
Ślubnej powiła syna z odwieczoru;
Rychło też w bólach porodu skonała.
Jam wtenczas tydzień przy piersi cię miała,
Gdy mię wezwano na mamkę do dworu
Za hojnem mytem. Tam szepła pokusa,
By cię podłożyć za syna Krakusa,
Wszystko sprzyjało: król wraz z lechitami
Bojował zdala za siedmiu rzekami,
A dworscy ludzie wybiegli na żale,
Gdzie zwłoki Tyty palono wspaniale.
Toż wykonałam, com w duszy stworzyła,
Bym z tobą kiedyś po królewsku żyła,
Jak ci się, synu, przypomnę na dobie.
Dzisiaj to czynię, gdy król prawie w grobie:
Nie wierzysz? Obejrz trzecie żebro z góry
Od serca, z szczerbem zadanym przez szczury,
Gdyś w słomie leżał u mnie po połogu.
Masz też na piersiach i myszkę, — tu właśnie,
Z kocim pazurem, bo leżąc w barłogu,
Gdym z łaski dobrej Dziedzilli poczęła,
Kota wściekłego przelękłam się straśnie
I dłonią silniem się w piersi wycięła.

LESZEK.

Przebóg! nie kłamie. Ależ gdzie się dziewa
Krakusa młodszy syn?

BABA-JAGA.

Pewnie ptaszkiem śpiewa
Już dusza jego, lub w lilijkę wrosła.
Gdym ciebie z pustek mych na dwór zaniosła,
Tamto niemowlę poszło na żer zwierza;
Potem przed ludźmi udawałam smutna,
Że synka mego wzięła Śmierć okrutna.
O! synu, gdyś mi wyrosł na rycerza,
Gdy Krakus stoi nad grobem zgrzybiały,
W tobie mam jutrznię wspólnej dla nas chwały;
Niech się pierś twoja nie kaje marnotą,
Lumir ci nie brat, bierz więc miecz z ochotą.

LESZEK *(przyjmując miecz).*

Ha! matko, daj miecz zaklęty czarami,
Niech żądło jego strachem się nie mami.
(Coraz gwałtowniej.)
Jak głownia jego do ręki przypada!

Znika z przed oczu zbrodni trwoga blada,
Pierś poję dziką lubością, tajemną...
Matko! gdzie miecz ten chowałaś przede mną —
Miecz, tylko dla mej prawicy ukuty?
Lecz gdyś mój zamysł w tajnéj trwodze snuty
W stal tę zaklęła, rozjaśń dalsze drogi,
Daj w pomoc Dziwów, skłoń mi czarne bogi,
Bo odtąd Perun tak straszliwym rykiem
Nie zagrzmi w górze po nad śmiertelnikiem,
Jak załoskocze miecz w tę dłoń wtrącony!
O! chciałbym teraz dzierżyć świata trony,
Krwi, pragnę mordu, najpierwej orlica
Z gniazda Krakusa, przyszłego dziedzica!

DYBALT.

Bogi cię wesprą.

(Dając nieznacznie Babie-Jadze kiesę.)

Wieszczko! ty w cichości
Idź, sklamruj usta milczeniem Marzanny,
Wkrótce się pora wielkich dzieł nadarzy.

BABA-JAGA.

Szczęść wam, Poklusie!

(Wychodzi w las.)

DYBALT.

Méj ufaj mądrości:
Jam witeź wszystkich przeumnych gęślarzy;
Bierz się, o! Leszku, nim promień zaranny
Purpurę wschodu na górach rozpostrze,
Spełń czyn, bo właśnie król w jutrzejszej dobie
Ma Lumirowi zdać berło, nie tobie.
Rada ma czysta, jak to miecza ostrze:
Śpiesz się do króla.

LESZEK.

Wiem, że czarne skrzydła
Nocnej bogini zwiewają mamidła
Lękliwej duszy w pochodzie do zbrodni,
Lecz czyż bez śladu można odejść od niéj?

DYBALT.

Znasz, synu, rozgłos tajemny, złowrogi,
Ten śmieszny wytwór stujęzycznej trwogi:
Że smok zamieszkał Wawelu pieczary,
Gdzie na pożarcie znoszą mu ofiary?
W tę się więc, Leszku, musisz puścić drogę.

LESZEK.

Jak to, tąż drogą berło posiąść mogę?

DYBALT.

Słuchaj! król dawno myśli o zagładzie
Potwora, — ty więc, idź skłonny mej radzie,
Proś wrzkomo: tobie, niech i Lumirowi
Zezwoli z rana uciąć łby smokowi.
Krakus i męztwo — to rodne dwa syny.
Toż was zachęci rwać mieczem wawrzyny;
Wywołasz zatem Lumira i skrycie
W jaskini mieczem tym przetniesz mu życie:
Potem zapłaczesz kłamanemi łzami,
Że brata pożarł smok ze siedmiu łbami,
Ha, ha, ha! zaliż rada nie po temu?

LESZEK.

Hołd biję czołem zmysłowi wieszczemu.
Śpieszę. Gdy berło Krakusa posiędę,
Ciebie na pierwszą wzniosę kraju grzędę.

(Wychodzi.)

(D. c. n.)

Do Zofii J....

Sonet.

Istny anioł pokoju przeszłaś między nami,
I uczuć ztąd życzliwych uniosłaś tak wiele,
Zbiegłaś już, blask Paryża twych oczu nie mami,
W domu dla twojej duszy jedyne wesele.

Dziś, w cichem znów gniazdeczku czuwasz za gó- [rami,
Twa ręka bratnie ścieżki bujnym kwiatem ściele,
A ja spotkanie z tobą wspominam ze łzami,
Twoją postać mam w duszy, słodki mój aniele.

Błogosławieni, którzy pokój światu niosą!
Oni dla serc balsamem, oni solą ziemi,
Oni w życia pomroku, słoneczkiem i rosą!

Ah! otulaj twe gniazdo skrzydły bieluchnemi,
Cicha dłoń tyle złotych ziarnek posiać może,
Twym trudom i nadziejom: szczęść Boże! szczęść [Boże!

S. D.

DROGA DO SERCA.

NOWELLA

przez

C. Lynn Linton.

Tłomaczyła z angielskiego

ZOFJA MARYA B.

Część I.

Kroki wstępne.

Wielki świat Wensley'ski doznawał niezmiernego wzburzenia: najbogatsza panna z całego hrabstwa wracała z długiej podróży, jaką odbyła dla uzupełnienia swego ukształcenia i wzbogacenia umysłu, aby objąć w posiadanie jeden z najpiękniejszych majątków w okolicy. Nic też dziwnego, że na wieść o powrocie młodej dziedziczki, niejedno serce żywiej zabiło, niejedna wyobraźnia zapełniła się nadzieją przyszłego powodzenia lub upadku, stosownie do okoliczności w jakich się znajdowała dana osobistość. I tak: każda matka będąca szczęśliwą posiadaczką córki na wydaniu, uważała przybycie Miss Julii Calvert, jako napad nieprzyjacielski; każda wdowa, kwalifikująca się jeszcze do powtórnego wstąpienia w związki małżeńskie widziała w niej śmiertelnego wroga; lecz matki dorosłych synów uśmiechały się z zadowoleniem, a mężczyzni nieżonaci, jeżeli przedtem patrzyli w lustro raz tylko, to teraz spoglądali weń po dwakroć.

Miss Julja Calvert wchodziła w mały światek, nad którym miała odtąd wszechwładnie królować, jako istota obdarzona przez dobroczynne wróżki wszystkiemi darami, o jakich człowiek może zamarzyć.

Była młodą, podobno i piękną, przytem miała opinię osoby ekscentrycznej; lecz, co więcej znaczy, niż to wszystko, przybywała otoczona nimbem bogactwa i wyższego stanowiska i gdyby była stara, brzydka i z charakterem gorzej niż ekscentrycznym, niemniej byłaby się stała przedmiotem hołdu dla całego towarzystwa i cała okolica upadłaby do jej stóp, tak samo, jak w okolicznościach obecnych.

Było trzech ludzi, którzy według ogólnego wyrachowania, mieli stanąć w rzędzie głównych pretendentów do ręki Miss Julii Calvert — ludzi przeznaczonych do prowadzenia trójosobowego pojedynku dopóty, dopókiby jeden z nich nie został powołany przez złotą rybkę do korzystania z długich oszczędności jej opiekunów.

Tymi trzema byli: wielebny Mr. Tufnell, młody wikary parafii, pochodzący z dobrej rodziny, mający ojca biskupem i wpływowych przyjaciół, a zatem, chociaż jeszcze bardzo młody i trochę słabowity, jednak przeznaczony do piastowania kiedyś wysokich godności w kościele; Mr. Ralf Mattison, właściciel Shoresam Close, majątku graniczącego z Beechover, posiadłością Miss Colvert z prawej strony, i niejaki kapitan Luxmoore, którego majątek, Ashdown Manor, sąsiadował z nią z lewej. Tak więc młoda dziedziczka była osadzona jak gdyby w centrum trójkąta, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że i wierzchołek wieży kościelnej, wznoszący się na końcu długiej, topolowej alei, można było widzieć z salonu w Beechover:

Wszyscy trzej domniemani konkurenci Miss Calvert byli to ludzie bardzo przystojni, przedstawiciele trzech odmiennych typów: duchowny o delikatnej twarzy, słodkim głosie i długich, falistych, kasztanowatych włosach, podobny z postaci do apostoła lub do artysty, według jednych przypominający św. Jana, a według drugich Rafaela. Mr. Ralf Mittison, dzielny angielski gentelman, ze szkoły muskularnej, z krótkiemi kędzierzawemi włosami atlety, z jasno-błękitnemi oczyma, ze szczerym, serdecznym uśmiechem, i który żadną miarą nie mógł się liczyć do rzędu tych zacofanych obywateli, których umysł obraca się wyłącznie koło psów i gospodarstwa, lecz człowiek elegancki i dobrze wychowany, chociaż może zanadto dobroduszny, aby mógł być bardzo dystyngowany i zanadto zajęty sobą, aby mógł być bardyo uczuciowy. Wreszcie kapitan Luxmoore, wysoki brunet, o pięknych ognistych oczach, dobrze zbudowany, który jako oficer indyjski, doznał wielu przygód, lecz ponieważ był zamknięty w sobie i nietowarzyski, przeto wyrobił sobie opinię człowieka dumnego u ludzi stojących niżej od niego, na społecznej drabinie i nie cieszył się ich sympatyą.

Większość, hołdująca powagom kościelnym, stała po stronie wikarego; partya stojąca w pośrodku między hołdownikami powag świeckich i kościelnych, głosowała za młodym Esquirem; podczas gdy stronnicy kapitana należeli do partyi skrajnych, do arystokracyi, jak np. Freschfield'zi, lub do plebsu, chociaż nawet i ci nie byli liczni. Człowiek nie wywnętrzniający się, który sam sobie wystarcza i do reszty świata się nie wtrąca, nigdy nie bywa popularny. Ogół wymaga okazałości i blagi, a ludziom wyższym od siebie, nigdy nie może darować, jeżeli ci go traktują ze spokojną godnością i z grzecznym chłodem. To też bardzo niewielu z tych, co rozporządzali ręką Miss Colvert bez jej zezwolenia, przeznaczali ją właścicielowi Aschdown Manor, i w trójosobowym pojedynku, ułożonym przez okoliczności i ogólne domysły, on miał najgorsze miejsce i najmniejszą szansę wygranej.

Tymczasem Miss Julja Calvert przybyła do Beechover, objęła je w posiadanie, urządziła dom i ukazała się światu.

Młoda dziedziczka nie wydawała się osobą, którąby można rozporządzać bez jej woli. Istotnie wyglądała na młodą pannę, niezmiernie silnej woli,

sądząc po pełnem, jasnem brzmieniu jej dźwięcznego głosu, po pewnych krokach, jakie stawiały jej drobne nóżki, po dumnem wzniesieniu pięknej głowy i po najzupełniejszej pewności siebie, jaka przebijała w jej obejściu. Gdy przechodziła przez wielki salon, na pierwszym publicznym balu, wydawała się młodą królewną, która krążąc między swemi poddanemi, wie dobrze, jakie miejsce jej się należy, sądzi że inni powinni o tem również pamiętać i która uważa, że jeżeli towarzystwo pada do jej stóp, to można je użyć za podnóżek, w razie jeśli jej z nim będzie dogodnie.

Towarzyszyła jej niejaka Mrs. Marsh, grająca rolę jej opiekunki i towarzyszki, lecz która, jak mówili złośliwi, chętnieby jeszcze sama przyjęła opiekuńcze ramię kogoś od siebie silniejszego. Była to ładna ciemnowłosa osóbka, której drobna postać i cichy układ dobrze kontrastowały ze wspaniałemi kształtami i bogatym kolorytem jej dobrze rozwiniętej pupilki; uroda jednej podwyższała wdzięki drugiej, tworząc doskonałość wyższą może pod względem estetycznym, niż konwencyonalnym.

W salonie potworzyły się grupy, na czele których widzimy Lorda i Lady Freshfield, Listers'ów i Vernons'ów, Paget'ów i Powers'ów; pana Mattison'a rozmawiającego z Miss Łucyą Paget, kapitana Luxmoore słuchającego Lady Freshfield i apostolskiego -p. Turnell'a, który, postępując drogą prowadzącą do kościelnych zaszczytów, uważał, że nie należy wyrzekać się świata, na który w przyszłości miał tak wielki wpływ wywierać. Bo ponieważ nasi biskupi nie chcą kalać swych białych rąk zetknięciem z niemytą i niecywilizowaną owczarnią, przeto należy im pozostawać w stosunkach z wyższą klasą i dzielić jej życie, jeśli chcą zbawić duszę.

Lord i Lady Freshfield podeszli do połowy salonu, aby powitać piękną dziedziczkę, gdy wchodziła do „*crême de la crême*", której miała stanowić odtąd najponętniejszy kożuszek. Cała ubrana w złoto i białe jedwabie, z naszyjnikiem z pereł i dyademem z brylantów, wyglądała iście po królewsku i z prawdziwie monarszem spokojem mierzyła wzrokiem zebrane towarzystwo, jakby je chciała zbadać i podbić zarazem. Miała przytem niezmiernie wiele wdzięku i z nadzwyczajnem zadowoleniem i serdecznością przyjęła uprzejme powitanie Freshfield'ów, których poznała zeszłego roku w Rzymie.

W ogóle, uczyniła na wszystkich korzystne wrażenie; tylko Lady Freshfield, bezbarwna kobiecina, cierpiąca na newralgję i niestrawność i uważająca, że pokora i poddanie się są to rzeczy przeznaczone przez Opatrzność dla słabszej płci, odezwała się pocichu, że ma trochę zanadto pewności siebie, niż na to pozwalają zasady dobrego tonu. Lecz ponieważ lord uznał, że Miss Calvert jest czarującą osobą, przeto i Lady, chcąc być konsekwentną, znalazła ją również czarującą, pomimo jej śmiałego chodu, donośnego głosu, dumnej postawy, decydujących opinii i niezależnych poglądów, które oznajmiały światu że Miss Julja Calvert potrafiłaby się obejść bez małżonka i że zdobyć jej nie będzie tak łatwem jak się zdawało.

Lord i Lady Freshfield przedstawiali poddanych nowej królowej i badali wrażenie, jakie na nich czyniła.

Na panach Tufnell i Mattison okazało się ono bezsprzecznie potężnem. Możnaby je prawie nazwać miłością obudzoną na pierwszy rzut oka. Mr: Tufnell zarumienił się i spuścił oczy z rodzajem poetycznego wewnętrznego uwielbienia; Mr. Mattison otworzył zaś swoje, jak mógł najszerzej i uśmiechnął się całą twarzą; obydwom zaś żywiej uderzyło serce na myśl, że właścicielka Beechover'u była prześliczną młodą kobietą i mogącą jeszcze rozporządzać sercem i ręką. Za to kapitan Luxmoore ani się zarumienił, tak jak wikary, ani też uśmiechnął, tak jak Esquire. Pozostał zupełnie tak samo spokojny i tak samo chłodny jak zwykle, a Miss Calvert spostrzegając w nim odrazu znamiona buntu, spojrzała nań ze zdumieniem, przesunęła się obok niego z niedostrzegalnie pogardliwym ruchem swej dumnej główki i zostawiła go bez przeszkody urokom rozmowy z Lady Freshfield. Widocznie hołdy i nieukrywane uwielbienie tamtych, więcej przypadły do jej gustu i więcej zgadzało się z jej dotychczasowem doświadczeniem, podczas, gdy za obelgę prawie uważała obojętność tego wysokiego, dystyngowanego oficera, którego czarne oczy, nie składały jej hołdu, lecz patrzały na nią badawczo i spokojnie, i który wydawał się jedynym śmiałkiem, buntującym się przeciwko jej władzy.

— Któż to jest ten kapitan Luxmoore? Spytała Mattisona, z którym właśnie tańczyła.

— Jest to nieznośny dziwak; sąsiad pani, podobnież jak ja, odpowiedział. Ja sąsiaduję z panią z prawej strony, a on z lewej.

— A więc ja jestem w pośrodku? rzekła dziedziczka z cichym, melodyjnym śmiechem. Mam nadzieję, że nie będę jabłkiem niezgody.

— Ale skarbem, nad którym obydwaj będziemy czuwać, choćby nam to przyszło życiem przypłacić, odparł Ralf z galanteryą.

Miss Calvert utkwiła w nim swe wielkie, szafirowe oczy.

— Lecz ja tego wcale nie potrzebuję, rzekła po chwili, wstrząsając lekko swą złocistą główką, sama sobie wystarczę.

— Być może, lecz to nie przeszkadza, abyśmy nad panią czuwali. Jest to przywilej mężczyzn, dodał.

— A upokorzenie dla kobiet, odparła ze spojrzeniem młodej Pallady, chwytającej za lancę, aby ukarać śmiałka, co się jej śmiał sprzeciwić. Dla czegóż mają się nami opiekować z tej jedynej przyczyny, żeśmy kobiety? Nie jesteśmy idyotkami, chociaż zdaje mi się, że prawo — prawo, któreście utworzyli wy, mężczyzni, dodała, z pogardliwym przyciskiem na wyraz „mężczyzni", stawia nas na równi z dziećmi i szaleńcami.

— W każdym razie nie jest to wielkie nieszczęście być pod opieką istot od siebie silniejszych, chociaż nie doskonalszych, bronił się z galanteryą Mr. Mattison, mając za mało bystrości, aby mógł spostrzedz, że stał na niebezpiecznym gruncie.

— Opinia publiczna powinna być wystarczającą dla nas opieką, rzekła Miss Calvert wyniośle. Jeżeli jesteście od nas silniejsi, powinniście być i doskonalsi. Lecz ponieważ tak nie jest, przeto nie ma mowy o opiece. Opieka! to obelga!

— Nie, nie, to tylko nasz obowiązek, powtarzał uparcie Mr. Mattison.

— Obowiązek, którego ja przynajmniej wcale nie uznaję, zawołała trochę z uniesieniem dziedziczka. Potrafię sama zapełnić sobie życie i zmuszę każdego aby je szanował. Nie potrzebuję opieki.

— Dla swego własnego dobra musisz pani zezwolić, abyśmy ci nie byli posłuszni, odrzekł Ralf, dla którego kobiety były łupinkami od jajek, a mężczyzni granitowemi kubkami, służącemi im za bezpieczne schronienie, i dla którego etyczne poglądy Miss Calvert nie więcej były zrozumiałe niż teorye filozofii pozytywnej.

— My mężczyźni, po to jesteśmy zesłani na świat, abyśmy czuwali nad temi istotami, co są od nas o tyle wyższe i doskonalsze, a które nie mogą same sobie wystarczyć.

— Możemy, zawołała energicznie Miss Calvert, a ja potrafię tego dowieść!

Podczas tej rozmowy Mr. Tufnell, sądząc, że przez świętych trafia się do Boga, starał się pozyskać względy ładniutkiej Mrs. Marsch. Została ona przyjęta bardzo grzecznie przez Freschfieldów, bo gdyby było inaczej, to zapewne Mr. Tufnell, który był z zasady arystokratą, nie byłby się spospolitował do tego stopnia, aby aż okazać się dla niej uprzejmym; lecz w obecnych okolicznościach, wydawała mu się doskonałym haczykiem, na któryby można z korzyścią dla siebie zawiesić pierwszą przynętę. Sądził również, że mógłby od niej dowiedzieć się wielu pożytecznych szczegółów o usposobieniu Miss Calvert: o jej gustach, upodobaniach, poglądach, przekonaniach i t. d., ponieważ, będąc człowiekiem zastanawiającym się i rozważnym, którego ulubioną dewizą była zasada „reculer pour mieux santer", przeto uważał że lepiej wejść odrazu na właściwą drogę, niż później wracać się ze wstydem.

Jego zapytania zdążały istotnie prosto do celu, chociaż były zadawane miodowym głosem i w wykwintnej formie.

Lecz ładna wdówka nie okazała się mniej od nie go przebiegłą i nie miała najmniejszej chęci odgrywania roli latarni, rozjaśniającej drogę matrymonialnym poszukiwaczom, ani też nie życzyła sobie własną ręką wiązać sznurową drabinę, po której on miał wejść do góry, a ona mogła być zepchniętą na dół. Dowiedziała się od służby o krążących po okolicy plotkach i wiedziała czego ma się spodziewać, od trzech współzawodników. Ztąd też uważała ich wszystkich za swych osobistych nieprzyjaciół i nie była usposobioną do ułatwiania im zwycięztwa.

(D. c. n.)

Sonet w liście pisanym.

Do Jadwigi K.....skiej, kończącej pensyą „Sacré-coeur" we Lwowie.

Z uśmiechem na ustach, a w sercu z nadzieją,
Wesoło pchaj taczkę, twojego żywota!
Ty jesteś w dniach życia, co same się śmieją,
Bo dla nich nieznane troski i kłopota.

W dniach życia, co tak pędzą, jak wiatr gdy [szaleje...
Wszakże jesteś już panną z niedawnej dzieciny,
A nim twoje dzisiejsze skształtujesz nadzieje,
Już i będziesz tu przy nas, śród twojej rodziny.

I razem tu z nami, gdzie miłość i cnota,
W spokoju i pracy biedz będą godziny;
A lubo się z marzeń, nie zwinie nić złota,

Lecz czynów się za to zagony zasieją;
Więc teraz wesoło, pchaj taczkę żywota
Z uśmiechem na ustach, a w sercu z nadzieją!

Z listu ojca.

Warszawa, d. 28 lutego 1881 r.

KORESPONDENCYA
Z GALICYI.

Nowy marszałek. Nowe źródło nafty. Bogactwa Karpat dotąd niezbadane. Kolej podkarpacka. Towarzystwo „Spójnia”. Które nici tańsze? Nowy budynek, dla fakultetu prawniczego w Krakowie. Szkoła weterynaryi we Lwowie. Reduty i Teatr. Towarzystwo muzyczne i chór męzki. Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych. Czytelnia polska, szkółka polska i towarzyztwo bratniej pomocy w Jassach. Bal polski w Wiedniu.

Nazwisko D-ra Mikołaja Zyblikiewicza nie jest obce czytelniczkom „Tygodnika Mód”. Zrobił on sobie rozgłos zarządem miasta Krakowa przedewszystkiem, chociaż i poprzednio, jako adwokat a następnie poseł w sejmie galicyjskim i delegat do Rady państwa, zwrócił był uwagę na siebie. Istotnie energią swoją, rzutkością, stanowczością wielkie prastarej stolicy oddał przysługi. Największą chwałą jednak D-ra Zyblikiewicza jest to, iż jako syn ubogiego mieszczanina ze Starego Miasta (niedaleko od Sambora), własnej tylko pracy i zdolnościom zawdzięcza swoje wyniesienie. Cesarz poznał go bliżej za swego pobytu w Krakowie; a gdy ambicyjki panów naszych, ubiegających się o krzesło marszałka sejmu, zbyt przedłużały negocyacye, cesarz sam sprawę załatwił, podając od siebie D-ra Zyblikiewicza na kandydata do marszałkowskiej laski. Nowy nasz marszałek jest w sile wieku, urodził się bowiem w 1826 r., długo więc może nową godność piastować i niejedno dobrodziejstwo na kraj sprowadzić. Będzie miał czasami niemałe trudności, wbrew bowiem opinii, że tylko magnat może być marszałkiem, zdobył pierwszą w kraju pozycyę. Do zrobienia jest wiele, bardzo wiele, liczymy więc bardzo na D-ra Zyblikiewicza, od którego mój list zacząłem, sprawa bowiem obsadzenia tej posady cały kraj gorąco zajmowała.

W końcu zeszłego miesiąca chciwość ludzka żywo podniecona została. W Kołomyjskiem w dwóch miejscach, prawie jednocześnie dokopano się nafty i to tak obficie, że rozpoczęto spekulacye na beczki. Twierdzą, że z jednej studni dobywają 300 a z drugiej 500 centnarów dziennie. Szczęśliwy kopacz odrazu przyjdzie do ogromnego majątku. Ważniejszem jest to, iż się sprawdzają przepowiednie naszych geologów, że Galicya jest równie bogata w naftę, jak amerykańskie prowincye. Oddawna już sejm i wydział krajowy i dziennikarstwo dopomina się od rządu, aby wydział górniczy zajął się gruntownem zbadaniem Karpat, zawierających niewątpliwie wielkie bogactwa kopalne. Sejm nawet wyznaczył fundusz 10,000 zł. na podniesienie przemysłu górniczego w Galicyi. Spodziewamy się, że teraz sam rząd żywiej się zajmie tą częścią bogactwa krajowego, które będzie dla niego źródłem znacznych dochodów. Wkrótce też rozwiązaną będzie kwestya kolei *podkarpackiej*, zwanej *transwersalną*. Jak wiadomo, Galicyą przecina przez całą długość linia kolei *Czerniowieckiej* (z Jass do Lwowa) i w dalszym ciągu, linia *Karola Ludwika* (z Krakowa do Lwowa). Koleje te korzystały z tego, że były jedyną droga transportową i nałożyły na towary tak wielkie taryfy, iż zboże np. przewiezione ze Lwowa do Krakowa, kosztowało więcej, niż przewiezione z Krakowa do Hamburga lub dalej. Tym sposobem koszta przewozu ni epozwalały zbywać produktów za granicą i przemysł nasz wraz z rolnictwem niesłychanie cierpiał. Dawno już rozpoczęto drugą linię, idącą po pod Karpaty, coby owe okolice wzbogaciło i zmusiło istniejące linie do zniżenia taryf, ale różne intrygi nie dopuszczały wykonania tak zbawiennych dla całego państwa i kraju projektów. Zdaje się, że nastąpiła pod tym względem pomyślniejsza dla nas chwila.

Pisałem już raz zdaje się o „Spójni”. Towarzystwo to zawiązało się z celem podniesienia w kraju przemysłu swojego, wykluczenia wyrobów i towarów zagranicznych, jak też usunięcia obcych a części wrogich żywiołów, które kraj wyzyskują, zubożają, a korzyść tylko dla siebie ciągną. Towarzystwo „Spójnia” istnieje już rok drugi, ale mało co uczyniło. Zmieniono więc zarząd w tym roku i wzięto się do energiczniejszej pracy. Dla pań naszych przytoczę jeden szczegół, który je zajmie, a który któryś z członków „Spójni” podniósł na jednem z posiedzeń. Wałeczek nici w sklepie katolickim kosztuje np. 9 centów, w żydowskim 7. Naturalnie, wszyscy mówią, że taniej i kupują u żydów. Oto członek „Spójni” wymierzył wałeczek, wzięty u katolika, i znalazł 120 metrów nici; wzięty zaś u żyda miał tylko 100 metrów. Cóż jest tańsze? Żydzi zamawiają sobie w fabrykach krótką nić na wałeczku, aby w nas wmówić, że taniej sprzedają, a my wierzymy i płacimy.

Dzięki poważnemu wpływowi naszej delegacyi, w Radzie państwa zdołano wydrzeć wrogim nam Niemcom kilka ustępstw. Oto wydział prawnej krakowskiej wszechnicy mieścił się dotąd w budynku nieodpowiednim. Po wielu latach starań zatwierdził nareszcie p. minister oświecenia plany nowego gmachu i do budżetu wstawiono summę 260,000 złr. na koszta budowy. Lwów także uzyskał dawno upragnioną „Szkołę Weterynaryi”, o której wspominałem w przeszłym liście. Kraj przeważnie rolniczy, a więc z konieczności zajmujący się hodowlą wszelkiego rodzaju bydła, pozostawał przez lat tyle bez weterynarzy. Tu i owdzie zjawiał się uczeń szkół zagranicznych, do których, dla braku środków, mało się kto mógł udawać, ale liczba tych szczęśliwych nie odpowiadała wcale potrzebom tak wielkiej prowincyi. Wydział krajowy z polecenia sejmu nabył lat temu cztery, duży budynek z ogrodem za 60,000 złr., ale w rządzie wówczas stojący Niemcy, żądali jeszcze, żeby szkołę utrzymywał fundusz krajowy i tak już nad miarę przeciążony. Sejm naturalnie odmówił i rzecz była w zawieszeniu, dopiero teraz wstawiono w budżet państwowy 51,000 złr. na założenie i 18,000 złr. na utrzymanie roczne szkoły weterynaryi. W ogóle sejm, którego budżet jest w stosunku potrzeb bardzo skromny, bardzo praktycznie postępuje w podobnych sprawach. Uznając konieczność jakiegoś zakładu, uchwala pewną summę, ale żąda, aby i rząd, który pobiera z Galicyi 24,000,000 złr., także się przyczynił, jak to jest jego obowiązkiem.

Karnawał skończył się szumnie, bale codzień; za to maskarad mało i te nigdy się nie udają. Lepsze towarzystwo na nie wcale nie chodzi, kostiumów ładnych nie ma, a o dowcipie, który jest niezbędnym warunkiem maskaradowej zabawy, nikt u nas nie słyszał.

Ustępująca dyrekcya teatru spieszy się z wypłaceniem należnych artystom benefisów, które też następują po sobie bezprzerwnie, o nowości się nie stara, dlatego o scenie naszej nic napisać nie mogę.

Natomiast „Galicyjskie Towarzystwo Muzyczne” ma przywilej szczególny, że od czasu do czasu zwraca na siebie uwagę wybuchami nieustającej dysharmonii, panującej chronicznie w jego łonie. Czyja w tem wina, niechcemy sądzić, ale świeży fakt nieprzyjemne rzuca światło na zarząd, lub też na dyrekcyą. Zdaje się być pewnem, że tylko osobista niechęć sprawiła, iż wydział Towarzystwa Muzycznego rozwiązał „chór męzki”, składający się z 60 członków! Długich lat trzeba było, aby dojść do zebrania i ukonstytuowania chóru męzkiego, który w krótkim czasie po sformowaniu, usilną pracą i gorliwością doszedł do wysokiego stopnia doskonałości i stał się ozdobą każdego koncertu. Cieszył się więc ogólnem uznaniem publiczności, chętnie biegnącej do sali koncertowej, gdy afisz zapowiadał wystąpienie „chóru męzkiego”. „Towarzystwo Muzyczne” pozbawiło się wielkiej podpory i dochodów, jakiemi występy chóry ubogą kasę Towarzystwa zasilały. Niedość tego; kierownik Towarzystwa od dawna wtłacza je w ciasne granice jednego tylko instrumentu, tak że dotąd nie zdołało ono wytworzyć sobie orkiestry i zapożyczać musi już to członków teatralnej, już to wojskowych orkiestr. Rozwiązując „chór męzki” wydział i pod względem sił artystycznych zubożył Towarzystwo Muzyczne. Drugie stowarzyszenie, mianowicie „Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych” odbyło w tym miesiącu walne zgromadzenie, ale uwiadomiwszy o dniu, nie podało miejsca, gdzie się zebranie ma odbywać. Błąkali się więc członkowie, szukając walnego zgromadzenia, o którego rezultatach nic prawie nie wiemy, bo i dzienniki miejscowe nic nie podały z tegoż samego powodu.

Pozwolicie, że wyjrzę teraz aż na kresy i dalej. Mało zapewne znanem jest czytelniczkom waszym, iż pewna część naszej ludności, wypierana z kraju brakiem zarobku, zwraca się na Wschód i osiada w Rumunii. Rozproszeni, starają się zachować jakąś łączność i punkt ogniskowy.

Utworzono przedewszystkiem czytelnię, która dotąd wzrosła do cyfry 1900 dzieł w 2815 tomach. Dochodu miała czytelnia w 1880 r. 1883 fr. z których 1232 fr. zarząd czytelni oddał na fundusz żelazny nowo tworzącej się instytucyi. Oto zamierzono założyć w Jassach szkółkę dla dzieci polskich. Zacna ta myśl znalazła poparcie i dziś już sumka 6000 fr. jest zebrana. Gdyby cały kraj się zajął i małemi datkami przyczynił się do powiększenia tej kwoty, wkrótce dzieci rodzin polskich w obcym kraju miałyby możność pobierania nauki w ojczystym języku i nie byłyby tak wystawione na wynarodowienie. Oprócz tego istnieje jeszcze w Rumunii Towarzystwo „Bratniej pomocy imienia Kraszewskiego”, założone w roku jubileuszu nowego nestora piśmiennictwa. Towarzystwo to rozwija się pomyślnie i już kilkunastu w biedzie znajdujących się rodaków znalazło pomoc w kasie tak niedawno powstałej. Zwróciwszy się na Zachód, winienem zanotować fakt drobny, ale nieobojętny dla nas. Jest nim „Bal polski” w Wiedniu. Znana pod tem nazwiskiem zabawa w stolicy Rakuskiego państwa ma już tam ustaloną sławą pod wieloma względami. Zwyczajnie arcyksiążęta ministrowie dygnitarze i arystokracya przyczyniają się swoją obecnością do świetności „Balu polskiego, dawanego co rok na cel dobroczynny. Tego roku cesarz nawet przyrzekł nań przybyć, czemu żałoba dworska przeszkodziła. Najwięcej Wiedeńczyków zachwyca mazur, z powodu którego i tę zabawę nazywają „Balem wielkiego mazura”. Tym razem 160 par stanęło do tańca. Dziarskość, ogień, polot samego mazura ochoczość muzyki, uro-

zmaicony bez końca a harmonijny deseń figur tworzących uroczą, żywą mozajkę, odurzają Niemców, którzy z tańca przeczuwać dopiero zaczynają pewne cechy naszego ludu.

TRZY MIESIĄCE W CHORWACYI.

Wspomnienia z podróży po Austryi i Węgrzech.

przez

LUIDEVITA PRIJATELI,

przekład J. B.

(Dalszy ciąg).

IV.

Sejm kroacki, czyli *Sobor*, a po niemiecku *Landtag*, składa się ze 128 deputowanych, to jest: z 8 prałatów, 44 magnatów i nad żupanów, 22 deputatów miast i 54 deputatów gmin. Sejm ten zasiada w pałacu stojącym na Placu Ś. Marka, po za kościołem oddzielającym go od pałacu Bana; posłowie pobierają dziennie 5 florenów diet. Posiedzenia Sejmu są publiczne i bywają zapowiadane przez różowe afisze, porozlepiane na murach miasta. Sala posiedzeń jest nieco podobna do amfiteatru lub do sal wykładowych na fakultetach prawa i medycyny; sześć rzędów siedzeń ustawionych jest w półkole. Dla posłów pourządzane są oddzielne stale z pulpitami, zaopatrzonemi we wszystko co tylko może być potrzebne do pisania.

Sala ozdobiona jest herbem narodowym i portretami cesarza i cesarzowej austryackiej. Na podniesieniu stoi fotel dla przewodniczącego, a nad nim rozpięty baldachim z czerwonej, pięknie udrapowanej materyi, podbitej gronostajami. Ani prezes ani posłowie nie mają przepisanego urzędowego stroju; prezes zasiada w surducie, białej kamizelce i czarnym krawacie; ma dodanych sobie do pomocy: wice-prezesa, czterech sekretarzy, z tych dwóch są duchowni, oraz sześciu stenografów. Poniżej fotelu prezydenta, na równi z pierwszym rzędem siedzeń posłów, na lewo, naprzeciw zgromadzenia, stoją dwa fotele, dla bana i wice-bana Chorwacyi, będącego zarazem ministrem spraw wewnętrznych; na prawo zasiadają ministrowie: sprawiedliwości i rolnictwa.

Trybuny nie ma wcale; posłowie przemawiają z miejsc swoich; sami tylko sprawozdawcy projektów do praw zasiadają po prawicy bana i odczytują sprawozdania, mające być przedmiotem rozpraw. Zazwyczaj rozprawy nie bywają zbyt ożywione; do najgoręcszych zalicza się kwestya wysokości dochodów pobieranych z funduszów Kroacyi na rzecz Węgier, jako nieusprawiedliwionej odpowiedniemi dla kraju korzyściami.

Część pobierana przez Węgry wynosi 55 proc. i powinna być obracaną na pokrycie wspólnych wydatków cesarstwa austryackiego lub ogólnych potrzeb kraju, jako to: na utrzymanie wojska i stosunków z obcemi państwami, administracyę finansów, handlu i prac publicznych. Inne wydatki stanowią oddzielny budżet Chorwacyi, i są pokrywane z pozostałych 45 proc. dochodów krajowych. Summa ta wystarcza wprawdzie na pokrycie kosztów zarządu cywilnego, sądownictwa, nauczania elementarnego, średniego i profesyonalnego, policyi i konserwacyi dróg, ale nie dozwala przedsiębrać niezbędnych ulepszeń ani też prac użytku publicznego, zachęcać przemysł i ulepszać gospodarstwo rolne, tak niezbędne do rozwoju pomyślności każdego, czy to wielkiego, czy małego kraju.

Właściwa Węgrom żądza przewodzenia i uciskania słabszych, dała się dotkliwie uczuć biednej Chorwacyi, którą ograniczono do najniezbędniejszych potrzeb. Nie zbudowano dotąd przyrzeczonej kolei Zagoryjskiéj, nie połączono kolei Zagrzeb-Sissek z Nowi i Banialuką, która otworzyłaby bezpośrednią komunikacyę z Bośnią; nie przystąpiono do kanalizacyi lub przynajmniej ulepszenia i oczyszczenia prądu Sawy między Zagrzebiem i Sissek, tak koniecznego dla dobra handlu i zdrowia publicznego; — rząd peszteński zamyka oczy i uszy na słuszne potrzeby i domagania przedstawicieli narodu chorwackiego.

Ugoda finansowa, zawarta między Węgrami a Chorwacyą w roku 1870 na lat dziesięć, skończyła się w roku 1880; zdaje się, że przy układach nad jej odnowieniem prowadzący je delegaci obu krajów obmyślą sprawiedliwszy rozkład, i jeźli nie będą uwzględnione słuszne domagania Chorwatów, aby im pozostawiono dwie-trzecie własnych ich dochodów, to przynajmniej będą mogli zatrzymać na potrzeby kraju większą summę, nad opłacaną Węgrom za nader niedbałą, a co najmniej niedostateczną opiekę.

W sejmie chorwackim zasiada wielu znakomitych mężów, odznaczających się gorącą miłością ojczyzny, nauką, zdolnością i wzniosłością charakteru, lecz bez zaprzeczenia góruje nad wszystkimi szlachetna postać czcigodnego arcybiskupa Zagrzebskiego, J. E. Strossmayer'a. Nazwisko jego głośne jest w całej Europie. Jest on przywódzcą stronnictwa narodowego. Co tylko dobrego, pożytecznego i wielkiego dokonanem zostało w Chorwacyi w przeciągu ostatnich 32 lat, zostało podniecone lub przeprowadzonem przez tego znakomitego męża. Śmiały ten i niezachwiany obrońca narodowości chorwackiej, łączy gorącą pobożność i szlachetność wzorowego arcy-pasterza, z zapałem Savonaroli.

Józef Jerzy Strossmayer urodził się w Essek, w Slawonii 4 lutego 1815 roku. Początkowe nauki pobierał w miejscowem gimnazyum, po skończeniu którego przez dwa lata uczył się filozofii w seminaryum w Drakowo. Ztamtąd udał się na uniwersytet do Pesztu, który ukończył ze stopniem doktora filozofii. Wtedy rodzina wyprawiła go do Wiednia, do akademii duchownej zwanej Augustineum; tam pozyskał stopień doktora teologii. Miał wówczas lat 23.

Był z kolei wikaryuszem w Peterwaradin i profesorem w seminaryum w Diakowo; podał się na opróżnioną katedrę teologii w Peszcie, ale nieznajomość języka węgierskiego stanęła temu na przeszkodzie. Dzięki głębokiej nauce i słynnej wymowie, powołany został do Wiednia, gdzie został dyrektorem Augustineum, z tytułem kapelana cesarskiego. Zostawszy członkiem fakultetu teologicznego i komisyi egzaminacyjnych, wprawił w podziw głęboką i rozległą wiedzą, oraz gruntowną znajomością języka łacińskiego, którym wyrażał się z nader rzadko napotykaną dziś wykwintnością. Ale ani łacina, ani języki nowożytne nie przywiodły go do zapomnienia ojczystego, chorwackiego języka; choć zdala od ojczyzny, kształcił się w nim i pracował ciągle, nie zaniedbując nic co mogło przyczynić się do rozwoju piśmiennictwa i oświaty narodowej.

Gdy będąc profesorem w Diakovo, powołany został na posiedzenia *Żupy*, powstawał energicznie przeciw pochłaniającym dążnościom centralistycznym; następnie utrzymywał stosunki z przedstawicielami Czechów, Polaków i innych ludów, domagając się w Wiedniu rękojmi dla praw swoich i narodowości. Gorący słowiański patryotyzm zwrócił na niego uwagę, i gdy w 1849 r. zawakowało biskupstwo diakowskie, został na nie przedstawiony. Miał wtedy lat 34. Został prekonizowany 20 maja 1850, a konsekrowany w Wiedniu 8 września 1850 roku przez nuncyusza apostolskiego, a następnie kardynała, Viale Prela.

Skutkiem słabości poprzednika biskupa Strossmayera, a więcej jeszcze zaburzeń 1848 roku, dobra i własności dyecezyalne zostały nadzwyczaj zaniedbane; nieład i zniszczenie panowały wszędzie. Zaraz więc po objęciu dyecezyi nowy biskup zajął się zaprowadzeniem wszędzie wzorowego porządku i podniesieniem gospodarstwa; uważając się jedynie za administratora ogólnego dobra, postanowił korzystać ze swego wpływu i majątku dla szczęścia swego ludu. Jemu to Slawonia zawdzięcza podniesienie gospodarstwa rolnego, które tak potężnie przyczyniło się do rozwoju bogactwa tego, tak długo zaniedbanego kraju. Jakkolwiek reakcya, jaka nastąpiła w Wiedniu po roku 1850, nie dozwalała znakomitemu pasterzowi rozwinąć działalności politycznej, przecież rząd, choć despotyczny wówczas, nie wzbraniał mu zakładać szkół, zawiązywać stowarzyszeń naukowych i wydawać książki. Nieco dawniej już Zagrzeb stał się głównem ogniskiem ruchu literackiego; biskup Strossmayer starał się wszelkiemi sposobami rozciągać ruch ten i do Slawonii.

W małem mieście Diakowo założył swoim kosztem seminaryum, szkołę dla chłopców i szkołę dla dziewcząt. Dzięki dobroczynnej jego działalności, w 38 parafiach, składających jego dyecyzyą, jest 71 szkół dla chłopców i dziewcząt, a na 8387 dzieci, pobiera w nich naukę 7918.

(D. c. n.)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

---

1 marca 1881 r.

Otóż i karnawał skończony; zima na schyłku, wiosenne mody, wiadome tym którzy je przez zimę wymyślali, pozostały jeszcze dla ogółu tajemniczą zagadką; wystawy marcowe po wielkich magazynach rozwiążą ją niebawem. Nim to nastąpi, mamy jednak dosyć materyałów do zapełnienia naszej kroniczki. Po balach karnawałowych nastąpią rauty, nowe pole do ukazania wytwornych strojów. W magazynie *Petit Saint Thomas* widzieliśmy kilka pięknych sukien, zamówionych na te wieczorne zebrania.

Podobała nam się szczególniej suknia z popielatego atłasu w odcieniu stalowym, ubierana atłasem w srebrnym odcieniu. Spódnica z niewielką powłoką, miała u dołu szeroki wolant plisowany, w dwóch powyższych odcieniach, zmieniających się co cztery plisy. Na to spadała tunika, ułożona w sztuczne draperye, ozdobiona szeroką torsadą, przerabianą stalowemi i srebrnemi paciorkami. Stanik długi, czworograniasto wykrojony, przybrany był podobną pasmanteryą. Otaczała wykrój koronka alansońska, przepięta z lewego boku wiązką delikatnych róż bengalskich. Do ubrania głowy przygotowany był maleńki ubiorek z koron-

ki srebrnej, mieszanej ze stalą, ozdobionej różami. Druga suknia czarna atłasowa: przód spódnicy tworzył fartuszek naszyty w poprzecz kilkoma rzędami koronki z błyszczących nitek stalowych. Tylne bryty powłoczyste, ogarnirowane plisowaną falbaną, łączyły się z fartuszkiem, słupami ze stalowej pasmenteryi, rozrzerzonemi u dołu.

Stanik długi (habit Louis XV), otwarty z przodu, naszyty był brzegiem stalową koronką, pod spód szła równie długa kamizela popielata, atłasowa, zahaftowana stalą.

Trzecia suknia z aksamitu *caroubier*, miała przód otwarty, z obu stron naszyty brabancką koronką, pod to szła spódniczka atłasowa, koloru *crevette* (ceglasto różowego), cała przymarszczona w poprzecz, zakończona u dołu plisowanym wolantem. Stanik aksamitny, również otwarty; plastron z marszczonego atłasu *crevette* odpowiadał spódniczce.

Sprawa grecka zaciemniła nieco widnokrąg, i oto modniarki paryzkie dalejże wznawiać zapomniane od dawna szamerunki *à la greque*.

Widzieliśmy suknię kaszmirową w ciemno-rozmarynowym kolorze, na takiejże atłasowej spódniczce z trzema plisowanemi wolantami. Ta suknia a raczej tunika miała u dołu szeroki szlak grecki, wyszyty czterema rzędami pletni stalowej. Stanik długi, francuzki, kończył się u dołu takimże szlakiem, podobny szamerunek naszyty w górze, na staniku, tworzył jakby okrągłą pelerynkę, zachodzącą do samych ramion.

Inna podobna suknia, z kaszmiru śliwkowego, naszyta była à la greque złotą pletnią.

Stalowe koronki i pasmanterye, najmodniejsze dziś do ubrania tak sukien jak kapeluszy i ubiorków na głowę. W pięknym magazynie pod firmą Brie et Jeofrin przy ulicy Richelieu widzieliśmy śliczny dobór kapeluszy czarnych ze stalą. Wielka w nich rozmaitość. Jeden w kształcie toczka, miał całą główkę z tkaniny stalowej w rodzaju kanwy. W koło otaczało go czarne pióro strusie, położone płasko *en diadem*. Inna kapotka czarna atłasowa, miała rondko małe naszyte koronką stalową. Pęczek piór, nakrapianych stalą, główne stanowił przybranie. Szarfy atłasowe, zakończone stalową koronką, służyły do wiązania. Inny znów kapelusik, przeznaczony do teatru, z koronki chantylly, mięszanej z aksamitem, przystrojony był cały motylami z aksamitu i perełek stalowych. Mówiono nam w tym magazynie, że stal sama, lub złączona ze srebrem, przeważać będzie w ozdobie letnich kapeluszy.

Na wystawach jubilerów spostrzegamy też mnóstwo broszek, kolczyków i medalionów z lawy, nabijanej srebrem i stalą.

Moda przybiera jakiś surowy nieco kierunek. miejsce białych rusz z nagarnirowanym żabotem, zaczynają zastępować rusze czarne koronkowe, lekko podgarnirowane od szyi, białą koronką lub iluzyą, inne bez białego nawet podgarnirunku. Czarna ruszka do większego ubrania spina się u szyi bukiecikiem kwiatków, do mniejszego kokardą z aksamitki.

Nie sądźmy jednak, aby biała koronka ustąpić miała z widowni, dziś szczególniej kiedy wymyślono sztuczny sposób jej wyrabiania. Widzieliśmy w magazynie *Ville de Paris* śliczny dobór chusteczek z długiemi końcami i pelerynek okrągłych, nagarnirowanych walensienną lub alansońską koronką. Jedna szczególniej nam się podobała; z przodu ścięta okrągło, naszyta była dwa razy szeroką walensienną, nad każdym rzędem szła woda z błękitnego atłasu, w tyle zaś spadał płaski kapturek, sięgający do stanu. Odpowiednie do tego mankietki składały się z odwróconej walensienny, przedzielonej wodą atłasową, z takąż samą kokardą.

W zeszłej korespondencyi wspomnieliśmy o machinie do wyrabiania koronek, dziś więcej powiedzieć o niej możemy, gdyż widzieliśmy ją sami. Wynalazca jej, p. Malhere, od połowy stycznia do końca lutego, pokazywał ją wprowadzoną w ruch osobom zwiedzającym zakład i tłómaczył wszystkie jej obroty.

Aby je dokładnie zrozumieć i opisać, potrzeba na to być mechanikiem, a i w takim razie pozostałyby jeszcze niewytłómaczone tajemnice, których wynalazca, obdarzony patentem swobody, wyjawić nie chce i nie może. Zostawmy więc na boku te stalowe palce, przebiegające z niesłychanym pośpiechem, pod kierunkiem jednego robotnika, a powiedzmy słówko o samym wynalazcy, który z prostego mechanika, stał się dziś miljonowym bogaczem.

P. Malhere ma lat około pięćdziesiąt, mieszkał dotąd w małem miasteczku Condé. Od lat dwunastu przemyślał dniem i nocą nad wykonaniem swej machiny. Na ten cel poświęcił wszystko co miał. Krewni i przyjaciele szydzili też z niego bez litości, ostrzegali go, błagali aby zaniechał próżnych mrzonek. Nic to nie pomagało, całe miasteczko widziało w nim szaleńca.

Nie zważając na to, Malhere mozolił się bez ustanku; pewien powodzenia, wszedł w korespondencyę z p. Alean, profesorem mechaniki w instytucyi sztuk i rzemiosł. Ten powołał go do Paryża, aby lepiej się z nim porozumieć. Malhere wyjechał; w miasteczku Conde rozeszła się wieść, że go zamknięto w szpitalu waryatów w Charenton.

Wiedział Malhere o tych pogłoskach, ale pewien tryumfu, pracował z coraz większym zapałem. W Paryżu jednak coraz nowe napotykał trudności. Trzeba było poprzebijać grubą blachę stalową, na której spoczywa cały warsztat, według obliczenia, wypadało przewiercić na niej 1800 dziurek rozmaitej wielkości. Malhere udaje się w tym celu do jednego z pierwszych mechaników paryzkich, odprawiony z szyderstwem, biega od jednego do drugiego; wszyscy odpowiadają, że to wykonać się nie da w żaden sposób. Nie było rady; biedny Malhere musi sam poświdrować dziurki, ale to wymaga osobnych instrumentów; takie nie istnieją w handlu, potrzeba je wymyślić.

Wytrwały pracownik nie cofa się przed niczem; zwycięża niesłychane trudności; gdy przyjaciele i krewni litowali się nad nim, on w końcu września roku zeszłego, zawołał tryumfalnie: *Eurika*!

Widzieliśmy próbki rozmaitych koronek, wyrobionych na nowej maszynie. Najbieglejsze oko nie odróżni ich od wykonanych ręką ludzką.

Zawiązała się już w Paryżu bezimienna spółka dla wyrabiania mechanicznej koronki, zwana *La Denteliere*. Ogłoszono sprzedaż akcyi po 625 franków. Akcye te mają utworzyć kapitał, wynoszący 2,500,000.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

✝ Bal etnograficzny.

W ubiegły poniedziałek, jak to już pokrótce donosiliśmy, odbył się w Krakowie wspaniały bal etnograficzny na cześć doktora Zyblikiewicza, który oddaje klucze starego grodu dla ujęcia marszałkowskiej laski.

Bal rozpoczął się o godzinie 10-ej wieczorem — w salach Sukiennic.

Po przybyciu marszałka, na dane przez heroldów hasło, wkroczył szereg par w kostiumach średniowiecznych.

Orszak ten postępował w rytmie poważnego poloneza...

Na czele szła p. Marya z Skrzyńskich Sokołowska z p. Muczkowskim, w kostiumie mieszczańskim XIII-go wieku.

Dalej p. Matejkowa z ks. Eustachym Sanguszką w stroju XIV-go wieku.

Wiek XV-ty przedstawiała p. Stanisławowa Tarnowska posuwająca się z p. Fr. Jędrzejowiczem.

W następnej parze prof. Tarnowski prowadził p. Czesławową Kieszkowską w stroju XVI-go wieku.

P. Maurycowa Straszewska idąca z p. St. Niedzielskim była w kostiumie z XVII-go wieku.

W wspaniałym kostiumie XVIII-go wieku błysnęła p. Zofia Wołodkowiczowa z p. Adamem Jędrzejowiczem.

Wreszcie w stroju XIX-go stulecia ukazała się p. Zuzanna Czartoryska z tancerzem Antonim Wodzickim.

Kroczyły dalej panie: Alfredowa Milieska mieszczka gdańska, Waleryanowa Gadomska mieszczka z czasów Sobieskiego, której berło balu oddano: Romanowa Wodzicka, Stanisławowa Ostrowska (w starym robronie), Aydukiewiczowa i wiele innych.

Kostiumy wszystkie od czepców i zasłon do bucików były najwierniejsze, według rysunków Matejki.

Strojne, malownicze, sprawiały potężne wrażenie.

Po wypowiedzeniu przez Deotymę wiersza okolicznościowego, wpadł z fantazyą i serdeczną ochotą kulig o czterdziestu parach w kostiumach wieśniaczych różnych okolic.

Rej w postaci starosty wiódł hr. Krasiński, starościną była p. Jędrzejewiczowa, organistą Anczyc, który też wystąpił z oracyą.

Młodą parę przedstawiali p. Russanowski z panną Tarnowską.

Hołd piękności odbierały panny: Kossakówny, Skrzyńskie i Rakowiecka z Warszawy.

Mazura tańczono w par sto pięćdziesiąt.

Przy wieczerzy zabrał głos pan Paweł Popiel i wzniósł toast na cześć marszałka.

Tańczono „do upadłego”, a wkradające się brzaski poranku nie odebrały powabu przepysznym kostiumom...

✝ Mało komu może wiadomo, że w szpitalu Dzieciątka Jezus, w oddziale kobiet dotkniętych chorobą umysłową, urządzane bywają corocznie zabawy dla rozrywki tych nieszczęśliwych. W tym roku miał miejsce bal kostiumowy.

Dwadzieścia cztery chorych wystąpiło w kostiumach różnych krajowych okolic, nie bogatych ale mile wpadających w oczy, które po większej części zrobiły sobie same przy pomocy Sióstr Miłosierdzia. Pracą tą zajmowały się z wielkiem zajęciem przez jakie dziesięć dni. Oprócz ukostiumowanych chorych i inne którym stan umysłowy dozwalał, przyjmowały udział w zabawie.

Zabawa rozpoczęła się o wpół do ósmej; kilka chorych posiadających muzykę, same grały do tańca. O północy bal się skończył, a chore rozweselone i w jak najlepszych humorach, udały się na

spoczynek. Doktorzy tego oddziału byli obecni, zabawa szła raźno, zdawało się że biedne obłąkane zapomniały o swych cierpieniach i odzyskały zdrowie.

W pierwszorzędnych zakładach zagranicznych dla dotkniętych chorobami umysłowemi powszechnie uznają wielką doniosłość leczniczą podobnych zabaw, tylko że tam urządzają je dość często — a jak w słynnym zakładzie pod Wiedniem, to nawet bardzo świetnie — bardzo wysokie opłaty pobierane od chorych, dozwalają zarządowi ponosić na to znaczne stosunkowo wydatki. Mniejsza o wystawność niedostępną dla niezamożnego naszego szpitala, ale czy nie wartoby częściej urządzać podobne zabawy, skoro wszelkie urozmaicenie w jednostajności otoczenia może bardzo zbawiennie oddziaływać na polepszenie zdrowia biednych obłąkanych.

+ Komissya, utworzona z rozporządzenia ministra oświaty A. A. Saburowa, dla przygotowania zmian w obowiązującej obecnie ustawie szkolnej uchwaliła na jednem z ostatnich posiedzeń, aby znieść obecny system dawania stopni, egzamina ustne dla uczni klasy IV-ej i dać w ogóle przewagę egzaminom piśmiennym. Kwestye zmiany planu i programu wykładu języków klasycznych wywołały burzliwe rozprawy. W liczbie innych zmian rady pedagogiczne proponują: 1-o. Znieść rozdział przedmiotów na główne i drugorzędne i żądać zarówno w ciągu roku jak i podczas egzaminów jednakowego stopnia umiejętności we wszystkich przedmiotach. 2-o. Dopuszczać do ustnego egzaminu uczni, którzy zdając egzamin na świadectwo dojrzałości, otrzymają stopień niedostateczny. 3-o, Pozwalać uczniom zostawać w klasie na trzeci rok w razie choroby lub innych powodów zasługujących na uwzględnienie. 4-o. Przy dopuszczaniu uczniów do egzaminu, zostawić radom pedagogicznym swobodę ogólnego ocenienia postępów ucznia, nie według mechanicznego obrachunku stopni ale stosownie do przekonania rady. 5-o. Pozwolić radom pedagogicznym na urządzanie egzaminów dopełniających po wakacyach z tych przedmiotów, w których postępy uczni okazały się niedostateczne. 6. Jeźli mają być zostawione egzamina, to w IV-ej i VI-ej klasie powinni być do nich dopuszczeni bez wyjątku uczniowie. Egzaminowanie zaś ma się odbywać tylko z przedmiotów wykładanych w ostatnim roku. Tak podają dzienniki rossyjskie.

+ W niemieckiej gazecie *Familienblatt* jest mowa o wozie tryumfalnym, którym nasz Jan Sobieski wjeżdżał do Wiednia; oto co o tem powiedziano jest w książce p. n. *„Pamiątki krajowe,”* wydanej w 1848, na str. 361 i 362.

„Ktokolwiek zwiedzając Prussy przybędzie w okolice Nowego Szczecina, niech zboczy do *Radaczu,* wsi kościelnej pod temże miastem leżącej, w której kościele zobaczy kazalnicę zrobioną z części wspaniałego niegdyś wozu. Jest to pudło kocza wyzłacane tak pięknie, jak się to już tylko w najstarszych ołtarzach widzieć i podziwiać zdarza. Na wierzchu umieszczony jest napis: *Currus triumphalis Joannis Sobieski Regis Polonorum,* oznajmiający, iż był to wóz którym oswobodziciel chrześciaństwa wjeżdżał z tryumfem do Wiednia, po odniesionem nad Turkami zwycięztwie. Może był to dar wdzięcznych Wiedeńczyków dla swojego zbawcy. Nad powyższym napisem wznoszą się na kształt piór strusich wojenne znaki z półksiężycami i turbanami. Pozłocenie pudła takiem błyszczy blaskiem, jakby świeżo dokonane było; na tem złotem tle malowane są piękne arabeski i geniusze, trzymające częścią tarcze Sobieskiego, częścią tureckie i chrześciańskie znaki wojenne, częścią pięknie połączone głoski J. S. R. P. (Joannes Sobieski Rex Poloniae). Litery te znajdują się w bardzo wielu miejscach.

Według tamecznego podania, pułkownik Kleist, niegdyś dziedzic tej wsi, towarzysząc Fryderykowi II-mu do Czech i Szlązka, zabrał wóz ten z jednego z tamecznych klasztorów i do dóbr swoich przesłał. Dowiedziawszy się o tej zdobyczy Fryderyk wydanie jej nakazał Kleist'owi, lecz tenże natychmiast przerobił wóz na kazalnicę i umieścił ją w nowo wówczas przez siebie wzniesionym kościele. Niepodobna dojść w którym klasztorze Kleist ten rzadki łup zdobył, ale niewątpliwie pobożny Sobieski wracając z Wiednia, złożył klasztorowi jako votum to świadectwo ziemskiego swego tryumfu. Na przodzie tej kazalnicy, przerobionej z tryumfalnego wozu, w miejscu drzwiczek umieszczono osobne pole, także wyzłacane, obejmujące herb Kleist'ów i nazwisko fundatora kościoła; lecz nowe to pole poczerniało, a pierwotne złocone części wozu dotąd świeżym promienieją blaskiem.

+ Dnia 26 maja r. b. przypada dwóchsetna rocznica śmierci największego poety dramatycznego hiszpańskiego, Calderona de la Barca, który w tymże dniu rozstał się z tym światem w Madrycie w 1681 r. Akademia madrycka ogłosiła konkurs międzynarodowy na poemat mający za przedmiot oddanie hołdu pamięci poety. W czasie obchodu jubileuszowego odbędą się walki byków, przedstawienia teatralne, pochody cywilne i wojskowe, śpiewy allegoryczne, oraz staraniem różnych towarzystw rozdawaną będzie publikacya pamiątkowa, zawierająca życiorys, portret i wyjątki z dzieł autora *„Księcia Niezłomnego”.* Nagrodą zwycięzcy na konkursie ma być medal złoty wartości 1,000 fr. dyplom honorowy na członka Akademii i 500 egzemplarzy uwieńczonego poematu, odbitych na pergaminie. Poemat pochwalny ma liczyć najmniej 200 wierszy, a termin nadesłania go do Madrytu upływa z dniem 31 marca r. b. Pomiędzy językami w których poemat ten ma być napisany, objęty jest i język polski. Ciekawa rzecz, gdyby który z poetów naszych utwór swój nadesłał, kto wydałby sąd o nim, bo chyba członkowie madryckiej akademii języka polskiego nie znają.

KORESPONDENCYA TYGODNIKA.

Bez żadnych osobistych widoków, a jedynie dla użytku publicznego, proszę o zamieszczenie w swem piśmie następnej wiadomości.

Kilkakrotnie czytałam w pismach publicznych o zbawiennych skutkach rośliny, zwanej Zębownikiem, przy wyrzynaniu się zębów u małych dzieci Pisały o tem „Kuryer Codzienny” w N. 269 z roku 1878, „Gospodyni Wiejska” w N. 19 z roku 1878 i N. 6, 1879 roku.

W ostatniej korespondencyi opisane zostało szczegółowe postępowanie przy użyciu tego środka, czyli tak zwanych sznurków na wyrzynanie się zębów u dzieci.

Zwyczajna gawęda, „babskie lekarstwo, to niedorzeczność”, wstrzymywała mię od praktycznego zastosowania tego środka, ale będąc w Suwałkach przez ciekawość udałam się do p. Baltazara Grabowskiego dla przyjrzenia się tej roślinie i zasiągnięcia niektórych informacyi.

Poimformowana we wszystkiem, wzięłam kilka sznurków takich, jakie sprzedaje pan Winiarski w Warszawie i jeden sznurek swemu dziecku, a resztę sąsiednim pozakładałam na szyje i przekonałam się, że wszystkie dostały zębów bez żadnych przypadłości, prawie nie wiedząc o tem. Całe postępowanie ogranicza się na tem, że przygotowany sznurek zakłada się dziecku po trzecim miesiącu wieku, przy kąpaniu zdejmuje, a potem znowu się zakłada, a ząbki wyrzynają się szczęśliwie.

Śmiało więc środek ten dobrym matkom polecam.

F. O.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie na obiad proszony. Na sukni z ciężkiej materyi faille włożona jest tunika i chusteczka z żółtawego jedwabnego tiulu grozbotowego, zakończona sznelową frendzlą i ozdobiona wypukłą aplikacyą kwiatów aksamitnych i jedwabnych. Falbana u rękawów i żabot wzdłuż stanika z żółtawych koronek; na głowie ubranko z koronki i róż.

Ubranie balowe. Do sukni z żółtawego tarlatanu stanik dodany z atłasu tegoż koloru; falbanki ukladane z podwójnie wziętego tarlatanu. Balejeza, przybranie stanika, szarfa i mufka z atłasu koloru rezedowego i heliotropowego. (458)

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pana X. Y. P. O objaśnienie prosimy.

Zawiadomienie.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy Ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się rycina kolorowa i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 25 Февраля 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 11 r. 1881.

TAK BLIZKO SZCZĘŚCIA.

(przekład z francuzkiego)

przez J. B.

(Dalszy ciąg).

Młody oficer spojrzał na nią z zadziwieniem, był o tyle wtajemniczonym w życie światowe, iż wie dział że pani d'Éricey była królową salonów najwyższego towarzystwa paryzkiego.

— Żegnam pana, odezwała się znów pani d'Éricey, niech Bóg wynagrodzi panu, to za co ja tylko podziękować mogę.

Franciszek siedział już w karjolce; wieśniak zaciął konia, który zaczął biedz żwawiej niż można się było tego spodziewać, wnosząc z jego powierzchowności.

Stefania przecierpiała wiele w ciągu tych trzech godzin, przepędzonych w odkrytej i trzęsącej karjolce: pierwszy raz w życiu była wystawioną tak długo na tak dokuczliwe powietrze. Pomimo że otuliła głowę i twarz ciepłym szalem, oddech ścinał się na jej ustach, zimny wiatr dech tamował. Ręce i nogi jej podrętwiały, tak że nie czuła ich wcale, zdawało jej się że zastyga cała, pomimo że Franciszek okrywał ją słomą, a poczciwy wieśniak doradził aby wypiła kilka kropli wódki; a gdy nakoniec zatrzymał się przed swym domkiem, wyniósł ją wraz z Franciszkiem z karjolki, bo nie mogła nawet ruszyć się z miejsca.

Zanieśli Stefanię do kuchni, tam żona i córka wieśniaka przyjęły ją bardzo gościnnie, posadziły na najwygodniejszem miejscu, przyniosły gorącej zupy aby się rozgrzała, a nawet ugotowały dla niej jajko! Nie zapomniano także o Franciszku.

Jak tylko Stefania rozgrzała się i posiliła trochę, zaczęła prosić poczciwego wieśniaka, aby jej wyszukał kogoś coby ją zawiózł do Cormé!

— Nic łatwiejszego, odezwała się jego żona, gruby Tomasz był tu niedawno i dziś jeszcze wraca do Cormé, chętnie panią zabierze.

Wieśniak poskrobał się w ucho.

— Eh! gdyby tak pani chciała zaczekać póki moja szkapa nie odpocznie i nie podje sobie, to sam zawiózłbym tam panią, powiedział, zachęcony sutem wynagrodzeniem, które Stefania wręczyła mu przed chwilą.

Zgodziła się na to chętnie; szczerość i poczciwość malująca się w twarzy tego człowieka budziła w niej zaufanie.

— A jak spotkasz Prusaków i zabiorą ci konia? zawołała z przestrachem jego żona; wczoraj o dwie mile ztąd zrabowali wszystko.

— Nie bój się, odpowiedział, pojadę takiemi dróżkami w lesie o których oni nie wiedzą; już w tem moja rzecz.

We dwie godziny później Stefania siedziała znów w karjolce, nie zważając na wzmagające się zimno. Podtrzymywała ją myśl że zbliża się nareszcie do tak upragnionego celu.

Tak otuliła twarz i głowę szalem, że tylko przez wązką szparkę mogła patrzeć przed siebie, widziała też tylko zasłaną śniegiem drogę przerzynającą obszerną płaszczyznę. W pół godziny później wieśniak skręcił na prawo, i wjechał w jakiś rodzaj wąwozu; koń zwolnił kroku, głęboki śnieg i wyboje nie dozwalały jechać prędko.

— Nieszczególna tu droga, odezwał się do Stefanii, ale nie chciałbym się spotkać z tą pruską szarańczą, a tu ona nie przyjdzie nas szukać.

Rzeczywiście trudno się było tego obawiać; mało kto ośmieliłby się jechać tą drogą. Karjolka to podskakiwała w górę, to przechylała się na tę lub ową stronę; Stefania trzymała się jej obydwoma rękami, aby nie stracić równowagi; miejscami wyboje były tak głębokie, że Franciszek i wieśniak musieli iść piechotą i podtrzymywać karjolkę. Nakoniec wyjechali z tej drogi na inną, także wązką ale dogodniejszą, zarośle i rzadko rozsiane drzewa zapowiadały że las musi być blizko. Wieśniak zatrzymał się aby koń odpoczął trochę.

— Czy pani widzi ten dym? odezwał się wskazując biczem, to tlą się jeszcze domy podpalone przez prusaków w pobliżu Cormé. W ostatniej potyczce mobile tak przerzedzili ich szeregi, że ich to doprowadziło do wściekłości; oj! gdyby ktoś z tego pułku dostał się w ich ręce, zabiliby go z pewnością.

Stefania zadrżała, a Franciszek spuścił głowę.

Pojechali dalej. Drzewa coraz gęściej rosły przy drodze; potem jechali przez młody dębowy lasek, a nakoniec dostali się w głąb gęstego i pięknego lasu, trzymając się ciągle wązkich i krętych dróżek, ktore musiały być dobrze znane wieśniakowi, skoro zawracał śmiało to w tę to w ową stronę.

— Jeździłem często do tego lasu po drzewo lub węgle dla różnych osób, kiedy można było zarabiać na życie. a teraz!... a! jakże też zimno!

Biedak zaczął iść piechotą, tak żeby się rozgrzać jak chcąc ulżyć koniowi. Franciszek podał mu manierkę z wódką; nalał sobie trochę na dłoń skurczoną i wypił z prawdziwą przyjemnością.

— Pani usta zupełnie zsiniały, rzekł do Stefanii, trzeba je rozetrzeć wódką.

Usłuchała jego rady i rzeczywiście doznała pewnej ulgi, tak że mogła przynajmniej przemowić do niego.

— Czy daleko jeszcze do Cormé? zapytała.

— Owszem, już bardzo blizko.

— A czy wiesz gdzie jest ferma *Rendez-vous de chasse*?

— A jakże: w tym lesie; niedaleko ztąd.

— Czy nie roztropniej byłoby zatrzymać się w tej fermie, niżeli jechać do wsi? odezwała się znów Stefania, nie chcąc zdradzać się z tem że był to właśnie cel jej podróży, co musiałoby go naprowadzić na różne wnioski.

— Z pewnością tak będzie lepiej! byłoby z nami krucho, gdybyśmy zastali tych czarnych dyabłów w Cormé.

— Gdybyś mnie zawiózł do tej fermy, to może przyjęliby mnie tam na noc? rzekła Stefania.

— O! tak, są to bardzo poczciwi ludzie; tylko nie będzie tam pani wygodnie.

— Mniejsza o to! zawołała usiłując ukryć wzruszenie; jedźmy tam, jedźmy!

Głos jej drżał sak silnie, że wieśniak sądził, iż zimno ją wskroś przejęło.

— Daj jej trochę wódki, rzekł do Franciszka, bo się boję aby nie umarła z przeziębienia.

Stefania nie opierała się wcale, chciała być zdrową i chciała zachować siły. Serce jej nie śmiało zadawć apytania co znajdzie w tej fermie! Próbowała modlić się, lecz nie mogła zebrać myśli: ale Bóg przyjął zapewnie i te przerywane błagania, które z głębi jej duszy wznosiły się do niego.

— Niech się pani trzyma dobrze, odezwał się wieśniak po niejakim czasie; dojeżdżamy już, ale droga tu bardzo przykra.

Serce Stefanii zaczęło bić gwałtownie, ale usiłowała się trzymać jak jej to radzono; wieśniak prowadził konia za uzdę zjeżdżając z pochyłości prawie prostopadłej, a nakoniec zawołał z wyrazem żywego zadowolnienia:

— Uf! dojechaliśmy przecie!

Rzeczywiście w minutę później zatrzymali się przed czworokątnym budynkiem i wieśniak zaczął pukać do drzwi. Uchylono je ostrożnie i odezwał się głos kobiecy:

— Kto tam?

— To ja, Grand-Pierre, gosposiu; przywiozłem tu panią, która chciałaby przenocować u was.

— Skoro to wy, Grand-Pierre, to nie ma się czego obawiać, odpowiedziała, tylko że u nas ciasno.

— Przyjmijcie nas pomimo to; strasznie zimno na dworze.

Kobieta otworzyła drzwi.

Grand-Pierre wziął Stefanię na ręce i postawił w sionce; fermierka patrzyła ciekawie tak na nią, jak na Franciszka, a potem wprowadziła ich do kuchni, gdzie przy wielkim kominie siedział jej mąż i dziewięcioletnia córeczka.

— Ogrzejcie się trochę, rzekła przysuwając stołki.

Gospodarz zaczął tymczasem rozmawiać cicho z Grand-Pierre'm.

— Czy nie mogłabym pozostać u was na noc? zapytała Stefania słabym i drżącym głosem.

— Nie mamy zbywających łóżek wybąkała kobieta, wahając się widocznie.

— Nasza mała może spać z tobą, a pani prześpi się na jej łóżku, odezwał się gospodarz, którego Grand-Pierre uwiadomił o hojności Stefanii; my we trzech przedrzymiemy się przy kominie. Idź, pościel łóżko, a jeźli pani zechce się posilić...

— Już ja nie zapomnę o niczem, rzekła gospodyni i wyszła.

Stefania podniosła się z największą trudnością, gdyż nogi jej posztywniały, udała się za nią do małej izdebki przy kuchni.

— Gosposiu, wyrzekła przerywanym głosem, macie tu rannego...

— Cicho! cicho! szepnęła przerażona kobieta zamykając drzwi. Kto pani powiedział?

— Czy on żyje? czy żyje? zawołała Stefania, chwytając ją za ręce.

— E! żyje, odpowiedziała kobieta, ale już ledwie dyszy... A! mój Boże!

Pani d'Éricey zbyt osłabiona, aby mogła znieść bezkarnie tak silne wzruszenie, padła zemdlona na łóżko.

— Pani! pani! wołała poczciwa kobieta, uderzając lekko w jej dłonie, jeszcze żyje, jeszcze nie umarł! a! ocuciła się przecie!

— Zaprowadźcie mnie do niego, zaklinam was, odezwała się Stefania; przyjechałam tu aby go pielęgnować.

Kobieta spojrzała na nią z zadziwieniem.

— A czy pani z daleka?

— O! tak, przybywam z dalekich stron. Powiedziano nam że wzięliście go do siebie, nie umiem

wypowiedzieć, jak wam jesteśmy za to wdzięczni! Ojciec jego zachorował ciężko w drodze i dla tego przyjechałam tylko ze służącym.

— Czy tylko Grand-Pierre nie dowiedział się o tem od pani? byłoby to bardzo źle; mógłby się wygadać pomimowolnie i te czarne dyabły porwaliby rannego, a nas podpalili.

— Nie lękajcie się, nie zdradziłam was; Grand-Pierre nie domyśla się niczego, sądzi, że zatrzymałam się tu z obawy, aby się w Cormé nie spotkać z prusakami.

— Tem lepiej, odpowiedziała kobieta, uspokojona tem zapewnieniem; bo, widzi pani, ukryliśmy go dobrze, wiedząc że wkrótce byłoby po nim i po nas, gdyby się dowiedziano że go przechowywamy.

— Czy nie moglibyście zaprowadzić mnie do niego? tak pragnę go zobaczyć!

— Teraz nie można: jak wszyscy pójdą spać to panią zaprowadzę.

Stefania zrozumiała że powinna zgodzić się na to; wróciła do kuchni i znalazła sposobność poszepnięcia Franciszkowi:

— Jest tutaj i żyje!

Poczciwy chłopak odwrócił głowę, aby ukryć łzy cisnące mu się do oczu.

Wieczerza była nędzna i krótka; w fermie mało było zapasów i oszczędzano się bardzo. Jednak radość z odnalezienia Jerzego i odpoczynek przy kominku orzeźwiły panią d'Éricey; oczekiwała niecierpliwie aby udano się na spoczynek i czas wydawał jej się bardzo długim. Gospodyni sprzątnęła ze stołu, pomyła i uporządkowała wraz z córeczką, naczynia, a następnie wzięła świecę i rzekła do mężczyzn:

— Prześpijcie się przy kominie i uważajcie aby ogień nie wygasł; nie potrzebujecie innego światła.

Odciągnęła męża na stronę i rozmawiała z nim cicho, a Grand-Pierre zbliżył się do Stefanii.

— Żegnam dobrą panią, bo jutro odjadę zanim się pani przebudzi.

Pani d'Ericey podziękowała mu i wynagrodziła hojnie.

Wyszła nakoniec z kuchni wraz z gospodynią i jej córeczką. Fermierka przykazała dziewczynce aby się położyła spać, a sama wyszła z panią d'Éricey. Weszły na schody, a ztamtąd do obszernej sali, zupełnie pustej; przy niepewnem świetle łojowej świeczki można było dostrzedz gdzie niegdzie jakieś płaskorzeźby rzeźbione na kamieniu i olbrzymich rozmiarów komin. Kobieta otworzyła wązkie i nizkie drzwiczki dębowe ukryte w załamie ściany.

— Niech pani wejdzie śmiało, rzekła do Stefanii, on nie wie, co się koło niego dzieje.

Pani d'Éricej przestąpiła próg oddychając z trudnością.

W głębi małego pokoju, którego białe niegdyś ściany czas przemienił w szare, stało łóżko osłonięte staremi firankami z bawełnianej materyi. Mały stolik i krzesło wyplatane słomą stanowiły całe umeblowanie, ale suty ogień palący się na kominku i stojąca na stoliku lampka nocna, pełna oliwy, dowodziły że ci poczciwi ludzie nie zapominali o chorym. Stefania zbliżyła się do łóżka drżąc jak listek i podniosła firankę. Niestety! niestety! czyż ta istota wybladła, wychudła jak szkielet, z błędnemi oczyma, nic nie widzącemi i nie poznającemi nikogo, mogła być tym Jerzym, którego ona szukała, nie zważając na wszelkie niewygody i niebezpieczeństwa?

Niepodobna opisać, co doznała w tej chwili, przecierpiała wszystko co przecierpieć można, gdyż była przekonaną, że przyjechała tylko po to, aby patrzéć na śmierć jego.

Upadłszy na kolana przy łóżku, wzniosła do Stwórcy gorącą, błagalną modlitwę; potem wstała i rzekła zwracając się do fermierki, na której twarzy malowało się żywe wzruszenie:

— Czy był u niego jaki doktor?

— Tak, pani, już trzy razy i ma znów przyjechać jutro: jest te poczciwy człowiek i mamy w nim zaufanie, tylko boi się przyjeżdżać często, aby to nie zwracało uwagi i powiada, że tylko natura może go wyleczyć.

— Byliście bardzo dobrzy dla rannego, rzekła Stefania z westchnieniem.

— A cóż, proszę pani, trudno go było zostawić bez ratunku; przesiedziałam przy nim nie jedną noc z tem przekonaniem, ża nie dożyje do rana.

— Teraz ja nad nim czuwać będę, zostanę tu na noc.

— Może przynieść materace i położyć na ziemi, zdajesz się bardzo zmęczoną, moja biedna pani, a on nie wiele potrzebuje; od czasu do czasu trochę wody przegotowanej ze skórką chleba, ot i wszystko.

Stefania nie zgodziła się na to. Bała się, aby znużenie fizyczne nie było silniejszem od jej woli, aby nie zasnęła skoro się położy.

— A więc dobranoc pani, powiedziała fermierka. Nie będzie pani miała wiele kłopotu z tym biedakiem.

— Niech Bóg wynagrodzi wam wszystko, co uczyniliście dla niego, odpowiedziała Stefania, ściskając ręce poczciwej kobiety.

Pozostawszy sama, patrzyła długo na Jerzego; był zupełnie bezprzytomny, a jedyną oznaką, że jeszcze żyje, było drganie wywołane bólem i wstrząsające nim od czasu do czasu.

Stefania uniosła lekko jego głowę i poprawiła poduszkę, z której się zsunął, odsunęła z czoła długie włosy, zwilżyła usta blade i spieczone. Następnie obciągnęła lepiej zmięte prześcieradło, otuliła go kołdrą i jej serce kobiece znalazło pewną ulgę w tem, że mogła czuwać nad swym biednym przyjacielem. Przy słabem świetle lampki zdawało jej się, że ta twarz, tak strasznie zmieniona, nie była już tak sztywna, tak wyprężona, jak przed chwilą; czyby przeczuwał że serce kochające, zdolne do wszelkich poświęceń czuwać nad nim będzie?

Zaledwie się poruszył w nocy, Stefania patrzyła na niego z niewysłowioną boleścią i obawą a jednak uszczęśliwiała ją sama myśl, że jest przy nim. Nakoniec blady promyk słońca przebił grubą, śniegową chmurę, słabe światło wniknęło do pokoju przez drobne szybki spajane ołowiem. Twarz chorego wydała się Stefanii jeszcze bardziej zmienioną, jeszcze bledszą i więcej wyniszczoną niżeli wieczorem.

Przystawiła do ognia garnuszek z wodą, umyła nią twarz chorego, na której pozostały jeszcze ślady krwi i błota, poprawiła poduszki i znów usiadła przy łóżku. Wkrótce dało się słyszeć na podwórku stąpanie konia.

— To Grand-Pierre zaprzęga do karjolki, pomyślała pani d'Éricey. Skoro odjedzie będziemy swobodniejsi.

Zbliżywszy się do wązkiego okienka spostrzegła, że uścisnąwszy rękę gospodarza wsiadł do karjolki i zniknął w lesie. Prawie jednocześnie Franciszek zapukał do drzwi.

— Gospodyni, rzekł, przysłała mnie tu, abym zastąpił panią.

Zbliżył się do łóżka.

— O! mój biedny komendant! zawołał z boleścią, spojrzawszy na tę prawie martwą postać, leżącą na łóżku, ale spostrzegłszy że tem przeraził Stefanię, dodał: Jednak nie trzeba tracić nadziei, nie jeden już równie chory i wycieńczony odzyskał zdrowie. Niech się pani teraz prześpi trochę, będę troskliwie nad nim czuwał.

Pani d'Éricey teraz dopiero uczuła, że znużenie sił ją pozbawiło, a będąc już pewną, że chory nie zostanie bez opieki, poleciła Franciszkowi aby jej przywołał, jak tylko doktór przyjedzie, i udała się do izdebki, w której posłano dla niej łóżko.

Gospodyni weszła tam dopiero koło południa. Stefania spała przykryta futrem i szalami. Twarzyczka jej, otoczona ciemno blond włosami, o złotawym odblasku, była tak przejrzysta i blada, że poczciwa kobieta patrzyła na nią z wyrazem szczerej litości.

— Gdyby nie to, że trzeba aby rozmówiła się z doktorem, pomyślała, nie miałabym odwagi jej budzić.

Pociągnęła ją lekko za rękaw i Stefania obudziła się natychmiast. Ubrała się w mgnieniu oka i przybiegła do pokoiku, w którym doktor stał już przy łóżku chorego. Pozdejmował z ran bandaże, aby je opatrzyć nanowo.

— Nie zabiłyby go te dwie rany od kuli, ani nawet ta od cięcia pałaszem, mówił do stojącego przy nim Franciszka, ale utracił zbyt wiele krwi, zanim go tu przywieziono, i to doprowadziło go do tak niepokojącego stanu; w każdym razie pokażę ci, jak trzeba opatrywać jego rany.

— Przywieźliśmy bandaże i kompresy, rzekła, zbliżając się do nich Stefania.

Doktor odwrócił się i spojrzał ciekawie na tę młodą kobietę, której wielkie, podsiniałe oczy patrzyły na chorego z takim niepokojem i czułością.

— A! to pani przyjechała tu, aby doglądać tego biedaka, zawołał, a jednocześnie złośliwy uśmiech przesunął mu się po ustach, zabłyszczał w oczach przysłoniętych okularami i rozjaśnił jego twarz okrągłą i pełną. Doprawdy, zdaje mi się że pani niemniej od niego potrzebuje lekarza.

— Jestem silniejszą niżeli pan sądzi, a w każdym razie dość silną, aby czuwać nad nim, odpowiedziała łagodnie.

— Oj! te Paryżanki... szepnął jakby do siebie. No! zobaczmy te bandaże.

Wydobyła je natychmiast z torby wraz z kompresami i szarpiami.

— Wybornie! teraz ty, mój chłopcze, unieś go trochę, abym go mógł obandażować lepiej.

Stefania zobaczyła wtenczas rany i zadrżała od stóp do głowy.

— Rany niepięknie wyglądają, czy tak? odezwał się doktor.

— A czy są niebezpieczne?

— Dosyć groźne, jednak mógłby się z nich wyleczyć, gdyby nie utracił tak wiele krwi.

— A teraz?..

— W innych okolicznościach, gdyby można było wzmocnić go, posilić, byłoby łatwiej wróżyć sobie coś pocieszającego, ale bez mięsa, wina, lekarstw!...

— Mam bardzo dobrą wódkę, i zapłaciłabym chętnie za wszystko coby mi dostarczono. Czy nie możnaby dostać mięsa, bulionu?

— I owszem, pani; pieniądze usuwają wiele trudności, ale ci biedni ludzie ich nie mieli. Trzeba jednak zachować się bardzo ostrożnie, aby nie odgadnięto, co się tu dzieje. Mieszkam niedaleko; służący pani będzie mógł przychodzić do mnie od czasu do czasu; przyślę przez niego wszystko co potrzeba. Tymczasem niech mu pani daje co dwie, trzy godziny łyżeczkę wódki, na pół zmieszanej

z wodą; może go to pokrzepi trochę... No! widzę że pani nie obawia się tak bardzo widoku ran!

— Czy zdołamy go uratować, doktorze? zapytała Stefania.

Jej spojrzenie, zamglone łzami, było tak rzewne, tak pełne bolesnego niepokoju, że silnie wzruszyło doktora.

— Trudno to powiedzieć, odezwał się łagodniej i poważniej; życie jego trzyma się na włosku... czuwaj pani nad nim starannie; dawaj mu po łyżeczce wody z wódką, posilaj go dobrym rosołem, niech bierze lekarstwo z chininą, które mu przyślę, może go uratujesz. Trzeba aby służącemu pani wskazano, któremi ścieżkami w lesie może dostać się do mnie, bo drogi są teraz bardzo niebezpieczne.

— Zechciej zapłacić wydatki, doktorze, odezwała się Stefania podając mu kilka sztuk złota.

— Dobrze, dobrze. Będę tu znów za parę dni.

— Milutka ta wasza paryżanka, rzekł do fermierki, żegnając się z nią przed odjazdem.

W kilka minut później Stefania siedziała w kuchni przy skromnym obiedzie, składającym się z zupy i kartofli. Wszyscy usiedli przy kominie i fermierka zaczęła opowiadać Stefanii, jakim sposobem, wieczorem po bitwie, znaleźli Jerzego w rowie koło drogi.

— Wracaliśmy od sąsiada w karjolce. Późno już było, ale księżyc świecił i strasznie było spojrzéć koło siebie. Tu leżą zabici, a dużo ich było! tam głowy tam ręce, nogi, a wszystko widać na śniegu jak na dłoni, aż nasunęłam chustkę na oczy. Jedziemy dalej i słyszymy koło płotu jęki: „aaa! aaa!“ krzyknęłam, a mąż woła: „cicho, cicho! to jakiś ranny“; znów słyszymy „aaa, aaa!“ tak żałośnie że aż koń się zatrzymał.

„Gdybyśmy też zobaczyli? powiadam. Gospodarz zgadza się na to; wysiadamy i znajdujemy tego pana w rowie pełnym śniegu. Miał otwarte oczy: „Wody!“ zawołał spostrzegłszy nas, a potem: „o! mój ojcze!“ aż mi się serce ścisnęło.

„Patrzę na gospodarza i mówię: Przecie mu nie pozwolimy umrzéć w tym rowie! czy jesteśmy chrześcianie czy nie jesteśmy? — Niebezpieczna to rzecz, odpowiada, ale jesteśmy. Pomóż mi go podnieść Bierze go z jednej strony, ja z drugiej. Nie łatwo nam to poszło, ale w końcu ułożyliśmy go w karjolce i przywieźliśmy do domu; wtenczas przyszło mi na myśl, aby go ukryć w pokoiku na górze, o którym nikt nie wie. Nie wspomnieliśmy o tem wszystkiem jednego słówka nikomu, prócz doktora, który go opatrzył i odwiedzał czasem, a szczęściem mieszkamy w głębi lasu i mało kto przejeżdża tędy.

Stefania słuchała z rozczuleniem pełnego prostoty opisu tak szlachetnego postępku. Ucałowała serdecznie poczciwą kobietę, i uścisnęła rękę jej męża.

— Widać Bóg chce go ocalić, odezwał się gospodarz. Te czarne dyabły nie lubią zapuszczać się w lasy, a pani go wyleczy.

Wstrząsnęła smutnie głową; nic nie zapowiadało pocieszającej przyszłości. Następnie Stefania zajęła się sama ugotowaniem dla chorego rosołu z chudej kury, która znalazła się jeszcze w fermie i odeszła aby zająć miejsce przy łóżku Jerzego.

Przez cały dzień pojono ranionego rosołem w regularnych odstępach czasu, lub dawano mu po łyżeczce wódki z wodą Biedna jego przyjaciółka śledziła jak matka czuwająca nad chorem dziecięciem, czy nie dostrzeże jakiegoś poruszenia, jakiejś choćby najlżejszej zmiany na tej martwej prawie twarzy. W przywiązaniu kobiety mieszczą się wszelkie odcienie miłości: Stefania która nie miała sposobności wylewać skarbów swego serca na drobne istotki, obsypywała niemi teraz cierpiącego przyjaciela.

Pani d'Éricey czuwała przy chorym do północy, potem zastępował ją Franciszek, ale nie dostrzegali najlżejszego polepszenia, jednak gdy po dwóch dniach doktór przyjechał, osądził że puls i cera są trochę lepsze. Stefania podtrzymywana tą iskierką nadziei, czuwała z podwójną troskliwością. Jednocześnie umiała okazać wdzięczność swym poczciwym gospodarzom, tak że cała rodzina błogosławiła codzień chwilę w której do nich przybyła.

Lepsze teraz było życie w fermie; mieszkańcy jej nie byli już zmuszeni poprzestawać na wodnistej zupce i pieczonych kartoflach; drób i mięso, z których gotowano rosół dla chorego, wydawały się tym biednym ludziom czemś nader smacznem, a nawet zbytkownem.

Za pośrednictwem doktora kupiła ciepły kaftan dla gospodarza i zimowe suknie dla jego żony i córki.

Doktor bywał teraz często, przyciągany urokiem rozmowy i powabów, które go, jak mówił, oczarowały. Był radykalistą, tak przynajmniej utrzymywał, choć miłosierdzie jego dla biednych, oraz gorące współczucie dla cierpiących, zostawało w sprzeczności z głoszonemi przez niego zdaniami.

— Jesteś pan, co najwięcej, republikaninem, a prędzej jeszcze utopistą, mówiła żartując z niego Stefania. Co zaś do wolnomyślności pana, wypływa ona prawdopodobnie z tego, że nie zgłębiłeś dostatecznie pewnych kwestyj, ale ponieważ czyny pana są zgodne z przepisami Ewangelii, mam nadzieję, że wkrótce światło spłynie do twej duszy.

Poczciwy doktor oddał Stefanii prawdziwą przysługę, przesyłając do Mans list jej, adresowany do Bordeaux, w którym donosiła biednemu ojcu, że znalazła Jerzego, a nie przestając na tem, w kilka dni później udał się do miasta i przywiózł pani d'Éricey listy od przyjaciół.

Stosownie do zalecenia Stefanii, powiedziano hrabiemu, że pojechała tylko do Mans dla zasięgnięcia wiadomości. Hrabia był znacznie lepiej, ale nie można było spodziewać się, żeby tak prędko odzyskał zdrowie. Wiadomości zawarte w liście Stefanii uważał za lepsze, niżeli były rzeczywiście; nie powiedziano mu, jak wielkie niebezpieczeństwo groziło jego synowi i spodziewał się, że go wkrótce zobaczy.

„Hrabia jest bardzo zmieniony, pisali przyjaciele Stefanii; nie grozi mu już niebezpieczeństwo, ale nie ten to już żwawy i energiczny człowiek, co dawniej. Był to zbyt silny cios dla niego.”

Niestety! czyż będzie mogła spełnić podtrzymującą go nadzieję, wrócić mu tego syna, bez którego życie stałoby się dla niego ciężarem?

Franciszek chodził często do doktora, zabierał zakupioną przez niego żywność, ale wracając przynosił coraz więcej niepokojące wiadomości. Prusacy rabowali i palili wszystkie posiadłości przy drogach; armia pruska otoczyła francuzką pod Mans, jakby żelazną obręcz. Stefania i gospodarze jej dziękowali Bogu, że znajdują się w głębi lasu.

Nadszedł nakoniec dzień, w którym chory zaczął wracać do życia, rany zabliźniały się zwolna, oczy odzyskały trochę blasku, zdawał się mniej bezwładnym, otwierał usta dla przyjęcia posiłku i zdawał się przyjmować go z przyjemnością. Raz nawet zdawało się Stefanii, że dostrzegła lekki uśmiech na jego bladych ustach, jakiś odbłysk przytomności w jego spojrzeniu. Jakże jej serce silnie bić zaczęło!

— Może instynktem przeczuwa obecność pani, ale przytomność nie wróci, dopóki nie odzyska sił fizycznych. Teraz jednak można już miéć nadzieję, że go ocalimy, co jedynie pani zawdzięczać będzie.

Polepszenie stawało się coraz widoczniejszem. Dzięki posilającym pokarmom, krew zaczynała lekko zabarwiać twarz i ręce rannego, przedtem martwą pokryte bladością.

Nadzieja wstępowała do serca Stefanii, gdy pewnego dnia, Franciszek, który udał się nad ranem do doktora, wbiegł do kuchni przerażony.

— Nie doszedłem nawet do wsi, rzekł do gospodarza, człowiek wysłany naprzeciwko mnie powiedział mi, że prusacy już tam gospodarują. Doktor zaledwie zdołał uciec. Te szatany rozbiegły się po domach, zabierają żywność, rabują wszystko, co im w ręce wpadnie; wysyłają na zwiady oddziały wojska do lasu. Biegnąc tu widziałem ich sam z daleka snujących się po dróżkach.

— Zginęliśmy! zawołała fermierka, załamując ręce. Znajdą komendanta i spalą nas wszystkich wraz z domem!

Dziewczynka zaczęła płakać głośno; gospodarz milczał rozmyślając nad tem, co czynić wypadało.

— Trzeba natychmiast ostrzedz panią, odezwał się nakoniec; jeżeli znajdą komendanta, najniezawodniej zabiją go i nas także. Chodź ze mną do niej, Franciszku, niech powie jak sobie mamy radzić.

Wychodząc z kuchni zalecił żonie, aby uspokoiła dziewczynkę.

Przeszli wielką salę, w której, według podania, Henryk IV lubił odpoczywać po łowach, i zapukali do drzwi; Stefania otworzyła im; pomimo dnia dżdżystego jasno było w pokoiku; rozweselał go ogień płonący na kominku, a wzorowy porządek, łóżko otoczone białemi firankami i pokryte pięknym i ciepłym szalem czyniły z niego miłe choć ubogie schronienie.

Pani d'Éricey za pierwszym rzutem oka domyśliła się, jaką jej wiadomość przynoszą; — obawiała się tego ciągle.

— Zbliżają się do nas! zawołała.

— Tak, dobra pani. Franciszek mówi, że są nie tylko we wsi, ale nawet w lesie: niepodobna obiecywać sobie aby nas ominęli.

Stefania przycisnęła rękę do serca. Niestety! przed chwilą tak się ucieszyła, widząc że Jerzy uniósł głowę o własnej sile, a teraz wszystko stracone!...

— Nie dałbym jednego centyma za życie rannego, jeżeli go znajdą, odezwał się znów fermier. To ten sam korpus, który poniósł tak znaczne straty bijąc się z mobilami. Co tu czynić?

Wiedziała że mówi prawdę i odgadywała że biedak obawia się, aby obecność Jerzego nie ściągnęła strasznych nieszczęść na dom ich cały. Czuła, że nie powinna ich narażać na tak wielkie niebezpieczeństwo, dla tego też po chwili namysłu zapytała:

— Czy nie ma gdzie w lesie takiego miejsca, w którem możnaby skryć się bezpiecznie na czas jakiś?

— I owszem, pani, są tam dalej ruiny starego opactwa, w części lasu całkiem nieuczęszczanej; nie jeżdżą tam nawet po drzewo, bo rosną tam tylko krzaki tak gęste, że o parę kroków człowiek nie dojrzy człowieka. Prusacy nie zapuszczą się tam z pewnością.

— W takim razie zaprząż do karjolki; ułożymy na niej materac, poduszki, tak jak na łóżku. Następnie stań na czatach, i skoro tylko dojrzysz, że nieprzyjaciel zbliża się w tę stronę, wracaj do nas spie-

sznie; położymy rannego w karjolce i Franciszek zawiezie nas do tych ruin, gdzie pozostaniemy, dopóki prusacy się nie oddalą.

— Wyborna myśl! powiedział fermier, tem więcej, że takim sposobem może uda nam się ocalić i mego konika.

Wybiegł, aby jak najprędzej zaprządz do karjolki.

— Pani, zawołał Franciszek, czy pan Jerzy przetrzyma tę drogę.

— Cóż czynić! odpowiedziała z wyrazem niewysłowionej boleści. Jeżli tu zostaniemy, ci barbarzyńcy gotowi go zabić. Dopomóż mi włożyć do torby podróżnej najpotrzebniejsze rzeczy i upakujemy w koszyk zapasy żywności.

Zajmowała się tem aż do powrotu gospodarza. Karjolka stała już pod szopą, otwartą na zewnątrz a zamkniętą od podwórza. Fermier dał Franciszkowi dokładne objaśnienie, w którą stronę miał jechać, aby się dostać do ruin. Stefania zaś zszedłszy do kuchni rzekła do gospodyni:

— Znajdujemy się w bardzo przykrem i niebezpiecznem położeniu. Może będę zmuszona odjechać nie pożegnawszy się z wami, ale nigdy, nigdy nie zapomnę co uczyniliście dla nas i zawsze was kochać będę!

Łzy potoczyły się po jej bladej twarzy. Fermierka uściskała ją płacząc także.

— Może nastaną jeszcze gorsze czasy, mówiła dalej pani d'Éricey, może spadną na was nieszczęścia, a ja nie będę wiedzieć o tem, dla tego daję wam teraz to pudełko, są w nim dwa rulony złota i mój adres. Starajcie się ukryć to dobrze, zanim nadciągną prusacy.

Poczciwa kobieta zalała się łzami, ale czując, że nie ma czasu do stracenia, skinęła głową i wybiegła, aby jak najprędzej zastosować się do tej rady.

Stefania wróciła do rannego. Nie zastała tam Franciszka; zabrał kosz z żywnością i zaniósł go do karjolki. Wzięła rosół z kominka i zaczęła nim poić Jerzego, aby go posilić przed drogą. gdy wtem przerażający krzyk dziewczynki rozległ się po całym domu. Krew ścięła się w jej żyłach.

Wkrótce do tych krzyków przyłączyła się przerażająca wrzawa: odgłos ciężkich kroków, szczęk broni, groźby i przekleństwa miotane w obcym języku... Następnie piekielny ten hałas zaczął się zbliżać. Stefania usłyszała, że ktoś wbiega na schody; drzwi do sali otworzyły się z trzaskiem. Poznała lekkie kroki dziewczynki, ściganej przez kilku mężczyzn. Dziecko, prawie nieprzytomne ze strachu, rzuciło się ku drzwiom pokoiku, otworzyło je i wbiegło bez tchu prawie.

Stefania zatrzasnęła drzwi usiłując je zamknąć, lecz zanim zdołała zakręcić klucz w zardzewiałym zamku, trzech żołnierzy odepchnęło ją tak silnie, że biedna kobieta potoczyła się i upadła przy łóżku Jerzego. Nie straciła jednak przytomności i podnosząc się, schwyciła za firanki i zasunęła je szczelnie. Następnie zasłoniła sobą dziewczynkę, która trzymała się jej sukni i postąpiła śmiało ku prusakom, którzy zdziwieni jej obecnością, zatrzymali się na progu.

— Po co tu wchodzicie? zapytała po niemiecku; czy nie widzicie że to jest pokój kobiety?

Zdumieni, że mówi do nich po niemiecku, czując że to jest osoba należąca do wyższych sfer społecznych, zawahali się i rzucili na siebie pytające spojrzenie.

— Jesteśmy głodni; chcemy kawy, mleka. Znaleźliśmy w domu tylko tę dziewczynę, która uciekała krzycząc.

— Proszę wyjść, rzekła Stefania z nakazującą godnością; każę wam dać wszystko, co tylko będzie można znaleźć w domu.

Potem szepnęła do dziewczynki.

— Zostań tu i zamknij drzwi na klucz.

Pani d'Éricey postąpiła już parę kroków ku drzwiom, gdy rozległo się za nią straszne przekleństwo; jeden z żołnierzy przysunął się cichaczem do łóżka i odsłonił firankę. Nieszczęściem był to podoficer, który brał udział w zaciętej bitwie, po której pozostawiono Jerzego pomiędzy poległymi. Jakkolwiek ranny był nadzwyczaj zmieniony, prusak poznał w nim tego, z którym walczył osobiście. Krzyknął, przejęty dziką radością, znajdując dzielnego oficera, który walczył tak mężnie, że drogo ich kosztowało odniesione zwycięztwo.

— Patrzcie! to komendant mobilów! zawołał przyzywając towarzyszów i zamierzał już wyciągnąć nieszczęśliwego z łóżka.

Ale Stefania odgadła jego zamiar, i przyskoczywszy do łóżka zasłoniła sobą rannego.

— Precz! krzyknęła po niemiecku; mnie zabijecie pierwej, zanim jego dosięgniecie.

Ale wściekłość ich doszła do tego stopnia, że jej stanowczość i odwaga nie zdołały ich powstrzymać; nawet jeden z nich schwycił ją za ramię i chciał odrzucić na bok, gdy nagle przy drzwiach rozległ się głos silny i rozkazujący.

— Co to za krzyki? milczéć!

Uciszyli się natychmiast. Ten który trzymał Stefanię, odsunął się z miną pokorną, inni rozstąpili się, pozostawiając wolne miejsce oficerowi stojącemu na progu. Skoro wszedł, niektórzy z nich wysunęli się za drzwi, ten zaś który poznał Jerzego, uwiadomił oficera kogo ukrywano w fermie.

Stefania stojąc ciągle przy rannym, odezwała się do oficera.

— Oni gotowi zomordować tych biednych wieśniaków, ocal ich pan, jeźli to być może.

Oficer przykazał podoficerowi, aby nie dopuszczczono się żadnego gwałtu na wieśniakach.

— Pamiętaj, dodał, że każde nadużycie ukarzę surowo.

Podoficer pochylił głowę i odszedł, rzucając na rannego pełne nienawiści spojrzenie. Stefania pozostała teraz sama z oficerem i dziewczynką, która ukryła się za firanki. Oficer zbliżył się i krzyknął zdumiony:

— Pani d'Éricey!

— Pan von Stredow! zawołała Stefania.

Poznała młodego oficera, przydzielonego do ambasady pruskiej, który przed wojną bywał często w hotelu d'Éricey, gdzie mógł rozmawiać po niemiecku z uprzejmą i śliczną jego właścicielką. Cokolwiek uspokojona zawołała.

— O! miej pan litość nad nami! on jest prawie umierający, nie dozwól, aby go ztąd porwano.

Pan von Stredow pochylił się nad łóżkiem i poznał Jerzego.

— Pan de Fleynac! zawołał.

Ognisty rumieniec pokrył jego twarz i czoło, widać było że w duszy jogo toczy się jakaś walka. Po chwili jednak zbliżył się do Stefanii, a jakkolwiek zmieszany, odezwał się dość stanowczym głosem.

— Chciałbym spełnić życzenie pani; Bóg widzi że pragnę tego szczerze, ale znajduję się w bardzo trudnem położeniu. Komendant de Fleynac nie jest mało znaczącym jeńcem; nie mogę go tu zostawić, muszę go odstawić do naszych ambulansów.

— Panie, to go zabije! nie wydzieraj mi go! ojciec jego chory śmiertelnie, ja zastępuję go przy nim; zaklinam pana na wszystko, co ci jest najświętszem, miej litość nad nami!

Była tak zachwycającą, tak nie ziemsko piękną ze złożonemi rękami, z wyrazem niewysłowionej boleści w oczach, z postawą pełną godności, pomimo że błagała o litość, że wzruszyła pana von Stredow do głębi duszy.

— Zobaczę, rzekł, co się da zrobić; pozostań tu pani i zamknij drzwi na klucz.

Wyszedł, a Stefania upadła na krzesło przy łóżku, zanosząc gorące modły do Boga.

— Pić! odezwał się słabym głosem Jerzy.

Było to pierwsze jego słowo odkąd czuwała przy nim, i pomimo okropności swego położenia, Stefania doznała tak niewysłowionej radości, że łzy których nie zdołało jej wycisnąć grożące przed chwilą niebezpieczeństwo, teraz popłynęły jej z oczu. Uniosła lekko głowę Jerzego i napoiła go z czułością matki, czuwającej nad chorem dziecięciem.

Wkrótce potem wszedł pan von Stredow.

— Ludzie moi są rozjątrzeni do najwyższego stopnia! rzekł do niej; jeźli nadejdą inne oddziały, inni oficerowie, za nic ręczyć nie mogę!

— Przygotowaliśmy już wszystko, aby go ztąd wywieźć, rzekła Stefania. Błagam pana, wyprowadź choć na jakiś czas żołnierzy, abyśmy go mogli wynieść, ukryjemy go w takie miejsce, że go nikt nie znajdzie. Nie odmawiaj mi pan, zaklinam pana na wszystko co ci jest najdroższem!

Pan von Stredow zdawał się walczyć z sobą i odezwał się dopiero po niejakim czasie:

— Dobrze, zbiorę mój oddział i wyprowadzę go ztąd, pod pozorem zbadania dalszych części lasu; niech pani uważa w którą udamy się stronę i wybiorze choćby dłuższą drogę, byle nie spotkać się z nami. Radzę także, aby pani wywiozła go jak tylko wyruszymy i ukryła dobrze! Nie mogę zaręczyć czy sam nie będę zmuszonym wrócić, i czy nie nadciągną inne oddziały. Niech Bóg opiekuje się panią!

— I niech wynagrodzi pana za ten dobry uczynek! rzekła, żegnam pana i dziękuję! gdybyś jeszcze mógł rozciągnąć opiekę nad tą fermą...

— Przyrzekam to pani, rzekł i oddalił się.

Stefania zbliżyła się do okienka, czekając na oddalenie się Niemców. Upłynęło kilka minut, długich jak wiek cały dla biednej kobiety, która w każdej chwili zwłoki widziała śmierć grożącą Jerzemu; nakoniec zobaczyła żołnierzy szykujących się w szeregi na dziedzińcu. Gniew malował się na wszystkich twarzach, musieli nawet głośno objawiać niezadowolnienie, bo Stredow chwycił z miną groźną za rękojeść pałasza; przyzwyczajenie do posłuszeństwa i karność przemogło nad pragnieniem zemsty i nakoniec Stefania widziała ich oddalających się i znikających w lesie.

Pobiegła do dziewczynki tulącej się ciągle w kącie.

— Nie ma już żołnierzy w domu, rzekła do niej, idź do matki, powiedz niech przyśle do mnie Franciszka, tylko śpiesznie! niech i ojciec twój tu przyjdzie jeźli może.

(d. c. n.)



Pl. 458.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.